Nr. 22. Kraków, dnia 29 maja 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Nowa narodowość w Galicyi?

Nowa narodowość w Galicyi! Nie żart to wcale, niepoczesny zresztą, ani żadne marzenie przyszłości. Prawda naga, rzeczywistość tem smutniejsza, że mogąca mieć daleko idące konsekwencye.

Chodzi o kwestyę narodowości *rosyjskiej* w Galicyi i propagandę prawosławia w kraju.

I spisy ludności i rozmaite badania ludoznawcze i krajoznawcze stwierdziły, że ludność Galicyi rozpada się na narodowości: polską, ruską i niemiecką. Owóż pomiędzy tak uczonymi jak praktycznymi politykami ruskimi u nas ciągle trwały spory o to, czy istnieje narodowość ruskoukraińska, czy też ona jest plemieniem narodu rosyjskiego, tak jak niem są u nas Mazurzy, Kurpie, górale itd.

Kwestyi samodzielności narodu ruskiego dotąd definitywnie nie uregulowano. Oba kierunki zasadnicze, nie mogąc wzajemnie się przekonać, poczęły szerzyć gorliwie propagandę swych zasad i haseł wśród ogółu. W rezultacie od lat sześćdziesięciu i w Galicyi i w Rosyi, na Ukrainie obudził się samodzielny ruch narodowo ruski, który nawiązując dobę dzisiejszą do tradycyi Siczy ukraińskich Chmielnickiego i buntów hajdamackich, uważają się za dalszych epigonów kozaków siczowych. Z drugiej strony za inspiracyami państwa rosyjskiego i przy jego gorliwem poparciu materyalnem krzewi się bujnie pomiędzy Rusinami ruch moskalofilski, uznający jedność kulturalną i narodową z Rosyą.

Rzecznikiem kierunku jedności z Rosyą była w Galicyi zawsze partya staroruska czyli moskalofilska. Stworzył ją przedewszystkiem sam rząd zaborczy, ażeby zaszachować Polaków, jeszcze w połowie XIX w., kiedy Austrya zaczynała opierać się na zasadach konstytucyonalizmu.

Wnet musiał jednak żałować swoich zamiarów i swoich czynów. Starorusini, którzy uważali się za czynnik „umiarkowany“ w przeciwieństwie do „radykalnych“ Polaków, za „wiernopoddanych“ w przeciwieństwie do nas, „rewolucyonistów“ polskich, okazali się jednak rządowi niewdzięczni: rozmaite procesy stwierdziły, że poza ich dążeniami kryje się propaganda państwowa rosyjska, przygotowująca grunt pod panowanie cara wszech Rosyi.

Wszelkie następne zamierzenia rządowe były bezcelowe i bezskuteczne. Separatystyczny ruch rosyjski, raz zdobywszy w kraju podkład nie dał się już odtąd wyplenić.

Odradzał się nieustannie, a w czasach ostatnich zyskał i podkład uczuciowy i oparcie polityczne w stronnictwie młodorusskiem pozostającem pod kierownictwem Włodzimierza Dudykiewicza.

Stronnictwo to, rozporządzając dużymi środkami materyalnymi, zdołało silnie oddziałać na młodzież akademicką i młodzież szkół średnich i na tych sferach znalazło oparcie najsilniejsze. Poszła dalej szeroka propaganda na wsi między chłopami, szeroka propaganda publicystyczna i wiecowa.

W parlamencie i Sejmie padły z ust przedstawicieli tego stronnictwa słowa o jakimś narodzie rosyjskim w Galicyi. Ale zarówno minister Bienerth, jak namiestnik Bobrzyński w oficyalnych swoich oświadczeniach zastrzegli się najkategoryczniej przeciwko uznawaniu jakiejkolwiek narodowości, która u nas nie istniała i nie istnieje i zapowiedzieli najostrzejszą walkę wszelkim dążnościom separatystycznym.

Sprytni politycy staroruscy z miejsca oświadczyli, że wcale nie mają tendencyi separatystycznych, że nie mają zamiaru wyłamywać się poza granice Austryi, nie mniej jednak wyraźnie uznali się za ludzi kulturalnem i duchowem życiem zespolonych nierozdzielnie z Rosyą.

Ze wzrostem partyi rosyjskiej w Galicyi szła równomiernie niezmierna demoralizacya i ludu

i młodzieży. Liczne procesy dowiodły udziału młodzieży w spiskach na rzecz Rosyi, a rzecz dziwna: szpiegami bali zawsze członkowie partyi „rosyjskiej“. Lud od dawna wychowany w wierze katolickiej, w żywych tradycyach unickich, prowadzono do Kijowa i Poczajowa, aby oddawał hołd „świętym“ prawosławnym, zapoznawał się z prawosławiem i lgnął doń.

Równocześnie pomiędzy duchowieństwem dotąd unickiem podjęto usilną propagandę prawosławia. W rozlicznych publikacyach i broszurach usiłowano dowieźć, że niema żadnych róznic pomiędzy kościołem unickim, a kościołem prawosławnym. Tendencyi do zerwania wszelkich z Rzymem stosunków propagowano niemal publicznie. A w rozmaitych broszureczkach ludowych podkopywano nasamprzód autorytet świętych unickich, zwłaszcza św. Józafata Kuncewicza, a natomiast rozpisywano się niemożliwie obszernie i długo o dobroci carskiej!

Kiedy rrąd zaczął na Bukowinie i w Galicyi tępić ten separatyzm, z trybuny parlamentarnej wiedeńskiej padł głos posła Kramarza, deklamującego o rzekomym ucisku „Rosyan“ w Galicyi przez rządy polskie. Recz sympatyczna; głos to bowiem jednego z twórców ruchu nowosłowiańskiego, deklamującego o „równości“ wszystkich narodów słowiańskich. W tej samej chwili, kiedy Kramer rzucał na nas pociski w Wiedniu, w Petersburgu znany polakożerca Włodzimierz Bobrińskij stawiał delegatom Polakom na konferencyi polsko-rosyjskiej warunek: Rosya udzieli Polakom w Królestwie ustępstw, o ile Polacy w Galicyi „równouprawnią“ Rosyan!

Wtem zestawieniu leży cała ideologia rosyjska. O ile chodzi o Polaków, należy im odmawiać wszelkich praw, a natomiast starać się o utrwalenie podstaw rosyjskości.

Propaganda rosyjska w Galicyi przez swą propagandę prawosławia i carosławia wyraźnie jest prowadzona ad usum rządu rosyjskiego. Znajduje w krajn oparcie i podkład uczuciowy, a jest tem samem dla nas wroga, bo gotuje grunt państwu rosyjskiemu.

Odsłonięcie pomników polskich bohaterów w Ameryce.

(Korespondencya własna.)

Waszyngton, 11 maja.

Dopiero co nastąpiło odsłonięcie pomników Kościuszki i Pułaskiego, a wrażenie, jakie odniosłem, jest tak wspaniałe i tak wzniosłe, że wspomnienie dnia tego będzie należało do najważniejszych w życiu.

Zjazd polaków wielki — osób kilka tysięcy. Pomnik Pułaskiego, zbudowany kosztem rządu amerykańskiego za sumę 50 tys. dolarów, stoi w pryncypalnej części miasta. Dookoła pomnika wznoszą się trybuny na 2000 miejsc. Polskie kapele grają hymny narodowe, później zaś występuje amerykańska orkiestra wojskowa, która gra „Jeszcze Polska nie zginęła“.

O godz. 2 po południu poczęły się zapełniać trybuny. Wśród Polaków wielu wybitnych Amerykanów. Około godz. pół do 3. przyjechał prezydent Stanów Zjednoczonych Taft. Na widok jego zerwała się burza oklasków.

Rozpoczęła się uroczystość. Pierwszy przemówił ks. biskup Rhode z Chicago, a przemówienie swoje zakończył modlitwą o jaśniejsze dni dla skołatanej Polski.

Jako drugi mówca wystąpił p. Smulski, który w barwnym zarysie przedstawił znaczenie Pułaskiego dla Polski i Ameryki. Wreszcie występuje p. Heliński im. Związku Narodowego Polskiego, który wskazując na chwilę dzisiejszą, jako na święto polsko-amerykańskie, dokonuje uroczystego aktu odsłonięcia pomnika. Zasłona opada powoli — pochylają się sztandary — muzyka gra hymn amerykański — z oddali słychać strzały armatnie... Entuzyazm wielki, łzy radości... Chwila pamiętna na całe życie!

Za chwilę ucisza się wszystko — oto na mównicy ukazał się prezydent Taft. Sięgając do przeszłości narodu polskiego, wyraża wdzięczność Polakom, którzy walczyli za wolność Ameryki; Ameryka o Polakach nigdy nie zapomni. Po słowach tych następuje defilada przed odsłoniętym pomnikiem, defilada wojsk amerykańskich i towarzystw polskich, potem oddziały wyższych klas gimnazyalnych itd. Dalej defiluje wojsko polskie, a w końcu sokoli i sokolice.

Następnie udają się wszyscy przed pomnik Kościuszki. Tu przemawia najpierw p. Stęczyński, prezes Związku narodowego Polskiego w Ameryce, potem p. Schreiber, który imieniem Polaków oddaje pomnik rządowi amerykańskiemu. Następuje odsłonięcie. Znowu salwa artyleryi, muzyka gra „Jeszcze Polska nie zginęła“, i imieniem rządu przyjmuje pomnik minister wojny Dickensen. W końcu biskup waszyngtoński Harding prosi Boga o błogosławieństwo dla Narodu polskiego. I znowu defilada wojsk...

Tak zakończyło się święto wielkie, łączące na tle przeszłości dwa narody: Polaków z Amerykanami, dwa kraje: Polskę z Ameryką.

Eser.

†

Eliza Orzeszkowa.



Dzień 18-go maja żałobnemi zapisał się literami w pamięci naszej, bo w dniu tym zgasła w Grodnie Eliza Orzeszkowa, jedna z tych kobiet powieściopisarek, która siły swe wszystkie złożyła Narodowi w ofierze, która żyła dla Niego i w Nim. Społeczeństwo całe z bólem myśli o stracie, jaką poniosło z powodu śmierci Orzeszkowej, tej wielkiej pracownicy na polu społecznem, narodowem i ogólnoludzkiem, bo wszakże nie wielu jest tych, którzyby, dając wszystko, nie żądali niczego. Do jakiego stopnia posunięte było pragnienie Drogiej Zmarłej służenia drugim, jak bardzo pogrążona była w myślach o innych, świadczą najlepiej słowa Jej wyrzeczone do p. E. Zmijewskiej, która odwiedziła Elizę Orzeszkową na jakiś czas przed śmiercią.

„Przyjdzie mi może do końca życia — mówiła ś. p. Orzeszkowa — przeleżeć w łóżku lub przesiedzieć w fotelu. Ha! trudno! Byleby módz pisać, byleby módz żyć nietylko po to, żeby zażywać lekarstwa i „oszczędzać się“. Taka wegetacya jest mi wstrętną. Do oszczędzania nie przyzwyczaił mnie ani los, ani ludzie. A i ja sama nie obliczałam nigdy smutnych dla siebie następstw. Moje otoczenie odgradza mnie od wszelkich wzruszeń. Podobno mucha przelatująca przez pokój zabić mnie może. Jeżeli szelest jej skrzydeł zabrzęczy wieścią dobrą, przyniesioną z szerszego świata — niech zabija! Co życie warte bez współcierpienia, bez współradości z bliskimi duchem.“

Praca jej i dążenie zbudują jej pomnik trwały, nieskruszony, a myśl o niej nie wygaśnie nigdy w narodzie, który Zmarła tak ukochała całem swojem jestestwem.

Eliza Orzeszkowa ujrzała światło dzienne w maju 1842 roku we wsi dziedzicznej Milkowszczyźnie pod Grodnem. Rodzice, majętni właściciele owej wsi, byli ludźmi wysokiej kultury umysłowej. Bardzo staranną pierwszą edukacyę odebrała w domu rodzicielskim, poczem do 15 roku życia (1852—1857) była na pensyi PP. Sakramentek w Warszawie, w r. 1857 ukończyła pensyę i wróciła na Litwę. W początkach 1858 r. zaledwie 16-letnia Eliza wychodzi za mąż za starszego znacznie od siebie obywatela wiejskiego Piotra Orzeszkę i osiadła w Ludwinowie majątku męża w powiecie kobryńskim. W r. 1864 przenosi się do wsi rodzinnej do Miłkowszczyzny i tu w ciszy i samotności pod wpływem wypadków powstania 1863 r. pogrąża się w pracy systematycznej i duchowo dojrzewa. Żelazną pracą samouctwa przyswoiła sobie niezwykły zapas wiedzy humanistycznej. Wejrzawszy w potrzeby swego społeczeństwa i poznawszy ujemne jego strony, Orzeszkowa teraz dopiero 1866 roku wstępuje na pole powieściopisarstwa i drukuje w „Tygodniku Ilustrowanym“ pierwszą powiastkę swoją p. t. „Obrazek z lat głodowych“. Tu odrazu idąc za przykładem Jeża, stanęła na gruncie realistycznym, z którego nie zeszła już przez cały czas swej działalności literackiej. Po śmierci męża osiada w Grodnie, skąd kieruje założoną przez siebie w Wilnie księgarnią nakładową, która aczkolwiek istniała dwa lata (1880—1882) zdołała wszakże wypuścić w świat kilkadziesiąt dzieł bardzo pożytecznych i budziła niemały ruch umysłowy wśród okoliczych mieszkańców. Po zamknięciu przez władze księgarni Orzeszkowa oddana zostaje pod nadzór administracyjny, który trwał kilka lat. Odtąd poświęca się wyłącznie literaturze. Grodno zawdzięcza jej wiele (pomoc dla pogorzelców po ogromnym pożarze Grodna 1884 r. i t. d.), bada przyrodę nadniemeńską, której jest nie tylko miłośniczką, lecz i doskonałą znawczynią. Wyszedłszy powtórnie za mąż za adwokata Nahorskiego, człowieka powszechnie cenionego dla wielkich zalet umysłu i serca, po dwóch zaledwie latach pożycia wspólnego, owdowiała po raz drugi w końcu 1896 roku. Z pod pióra Orzeszkowej wyszło przeszło 60 tomów powieści, studyów i broszur. Pisała wiele a przyznać trzeba, że miała ona bardzo wiele do powiedzenia, i wypowiedzieć to umiała. Nasamprzód uderzyła na złe wychowanie dziewcząt, które dzięki właśnie niedbałemu wychowaniu często zapominają lub, co gorsza, nie wiedzą wcale, że są one jak wszyscy, powołane do pracy dla dobra drugich, dla dobra całego narodu. I tak w jednej ze swych pierwszych powieści p. n. „Marta“, Orzeszkowa przedstawia nam kobietę, która, nie mogąc dać sobie rady w życiu, postradawszy mienie, ginie śmiercią samobój-

czą. W innej znowu powieści jej p. n. „Pamiętnik Wacławy“ mamy dziewczę co wyszedłszy szczęśliwie za mąż, cierpieć musi wiele, zwłaszcza, gdy mąż strwoniwszy majątek, umiera; ale ratuje ją od zguby wola silna, co każe imać się jakiejkolwiek roboty, byleby żyć i działać dla drugich. Oprócz kilku innych tą myślą ożywionych powieści, napisała kilka książek naukowych o kobietach, kładąc zawsze im na cel, by nie patrzały na błahostki, lecz pamiętały przedewszystkiem o pracy obywatelskiej.

Orzeszkową zajmowała także żywo sprawa żydowska. Żydzi osiadli na ziemi polskiej od czasów króla Kazimierza Wielkiego, niejedni uczuli się Polakami, ale częściej niestety zdarzały się wypadki, że stawali się pijawkami, wysysającymi krew i mienie ludu polskiego. Zarzuca im tedy Orzeszkowa w powieściach p. n. „Eli Makower“ i „Meir Ezofowicz“, że wyzyskują łatwowiernych chrześcian, że stają się bez powodu wrogami Polaków, że różnią się strojem i językiem — gdy tymczasem ona chciałaby widzieć w żydach obywateli polskich, którzyby dla Polski pracowali, i w walce, podobnie jak Berek Joselowicz, stawali w jednym szeregu z nami przeciw odwiecznym wrogom polskości.

Gorąco także Orzeszkowa zainteresowała się ludem i ziemią, tą ziemią, którą rządy zaborcze na każdym kroku nam wydzierają, a którą niestety wyrodni synowie narodu sprzedają obcym. Pisze więc powieści na ten temat („Rodzina Brochwiczów“, — „Australczyk“), w których maluje nam w pięknych barwach, zamiast niedołęgów, wypuszczających glebę z rąk swoich — ludzi energicznych, szlachetnych i rozumnych, zdolnych wszystko poświęcić, byleby jeno utrzymać się przy własnym kawałku ziemi, i tym sposobem nie uszczuplać naszej Ojczyzny.

A już najwięcej hartuje nam ducha powieść „Nad Niemnem“. Orzeszkowa przedstawia nam w niej historyę dwu rodzin: Korczyńskich i Bohatyrowiczów. Korczyńscy, choć jeden z nich legł za Polskę w Powstaniu Styczniowem, zapomnieli o obowiązkach narodowych, leniwi i próżniacy i pyszni, odgraniczają się od uboższych Bohatyrowiczów. Ale wśród Korczyńskich żyje jeden, Witold, patryota i demokrata, który, mimo przykrości doznawanych ze strony swej samolubnej rodziny, żeni się z ubogą, żyjącą z pracy rąk dziewczyną, bo wie, iż jedynie przez zrównanie na polu obowiązków narodowych wszystkich stanów, przez połączenie się wszystkich warstw całego narodu — ostaniemy się przeciw przemocy wrogów naszych. Przez to małżeństwo — powiada Orzeszkowa — zacierają się różnice, jakie istniały między stanami, a przez zbratanie się stanów wzmaga się siła narodu i moc.

Bardzo też silnie uderza Orzeszkowa na brak oświaty wśród ludu. Mówi np. o tym w pięknej powieści p. n. „Niziny“, gdzie ofiarą ciemnoty staje się biedna wyrobnica Krystyna, którą wyzyskuje pokątny doradca za pośrednictwem faktora, i zabiera biednej kobiecie ostatni krwawo zapracowany grosz, łudząc ją nadzieją uwolnienia syna od wojska. Prócz tego przerażające skutki ciemnoty wśród ludu przedstawia Orzeszkowa w wielu innych powieściach, naprzykład w zatytułowanych: „Cham“, „Dziwacy“, Sylwek Cmentarnik“ itd.

Wielki jest dorobek pisarski Orzeszkowej, ale stokroć większe znaczenie mają myśli zawarte w jej pismach. Orzeszkowa dotykała, jak widzimy najrozmaitszych spraw piekących, które należało uwzględnić, jeżeli się chce, aby naród nasz żył i rozwijał się. Ona w pismach swoich, tak ciepło pisanych, umoralniała naród, budziła sumienie narodowe, poczucie obywatelskie.

Powiedziała kiedyś Orzeszkowa: Usiłowaniem moim najusilniej naprężonym jest to, aby mieć serce jak najczystsze i oddawać usługi jak największe narodowi i Ojczyźnie“. W myśl tych słów świętych — oby je każdy Polak wziął sobie do serca! — Orzeszkowa pracowała przez całe życie do ostatniej chwili. Dziś zamilkła ona, udając się może w lepsze światy. Dziś Polska cała pogrążona w żałobie, opłakuje zgon największej w ostatnich lat dziesiątkach powieściopisarki i orędowniczki ludu i dobrej sprawy.

Eliza Orzeszkowa.

Z myśli wieczornych.

Zmiłuj się nad nami!

Jako woda uciekająca — życie nasze,
Jako wątłe skorupy kruche — łodzie nasze,
Jako kwiaty więdnące — serca nasze,
Jako ptaki więzione — dusze nasze,
Jako światełka, które we mgłach obłędnych światła szukają — myśli nasze,
Jako rany, które tęsknością łaknąc, wargi ku dosytowi rozwierają — kochania nasze,
Jako trzciny, któremi nad wezbraniem wód biegnących wichry miotają — wole nasze,
Jako gołębie ku niebiosom wzlatując, pościg jastrzębi za sobą mają — cnoty nasze.



Przyjęcie „kurka" ofiarowanego przez Zygmunta II Bractwu strzeleckiemu w Krakowie.

Tyś Panie! dla wód w wieczność uciekających — ujściem,
Dla żeglarzy z fal na fale rzucanych — przystanią,
Dla serc, od tęskności łaknącej we wnętrzu swem omdlałych — winem,
Dla skrzydeł od bicia w ściany klatki rozbolałych — nadzieją.
Zmiłuj się nad nami!
Tyś pochodnią — szukającym
Lekarzem tych — co chorzy
Siłą — w sobie zachwianych
Ratunkiem — ściganych.
Zmiłuj się nad nami!
My, prochy liche, i przed Wielkością Twoją, największy z nas, — pyłek maleńki,
My, ślepcy błądzący, i przed Mądrością Twoją, najmędrszy z nas — krótkowidz jednooki.
My, z jadem w żyłach zrodzeni, i przed dobrocią Twą, najsłodszy z nas — piołun gorzki,
My niedolą na sercach piętnowani i przed szczęśliwością Twoją, najszczęśniejszy z nas — nędzarz spłakany
Zmiłuj się nad nami!
Tyś światłem — bez cienia,
Kochaniem — bez cierpienia,
Potęgą — bez zachwiania,
Dobrem — bez skazy.
Zmiłuj się nad nami!
Wielkość Twa, — za krańce stworzonych wszechprzestrzeni — sięga,
Mądrość Twa — zmazy do stóp Twych kornie przypadające — przekreśla,
Dobroć Twa — serce, rany swoje błagalnie Tobie ukazujące — ukaja,
Litość Twa — nad brzemiona swe po drogach twardych, niosącymi — pochyla się
Zmiłuj się nad nami!
Idziemy, idziemy ku Tobie, po falach wód w wieczność biegnących — chwiejący się i niedowidzący,
Płyniemy, płyniemy ku Tobie na łodziach wątłych i kruchych — błądzący i powracający,
Witamy, witamy ku Tobie, z serc i skrzydeł udręczonych, — łzy i krew roniący,
Lecimy, lecimy ku Tobie, przed pościgami jastrzębimi — strwożeni i uciekający.
Zmiłuj się nad nami!

Wieś polska w dzień Bożego Ciała.

W dworku białym ruch wielki... Państwo, dzieci, czeladka —
Wszyscy wielce zajęci... Żwawo biega gromadka.
Dzieci znoszą na ganek: dywaniki, firanki,
Z doniczkami kwiateczki i w wazonach wiązanki.
Dziedzic, stojąc na krześle, w ganku, dywan przybija;
Sługa, przykląkł na schodkach, z wełny świece odwija;
Na drabince ekonom, wzniósłszy ręce ku górze,
Krzyż z bławatków zawiesza po nad gankiem, na murze;
Dwaj parobcy aleję przystrajają jedliną;
Wije wianki karbowe z swoją starszą dziewczyną.
Słowem ma tu robotę każdy, kto chce pracować —
Nawet dziaduś sędziwy ani myśli próżnować:
Ujął w ręce swe drżące tatarku wiązankę
I na ławce, pod lipą, robi drobną krajankę.
— Już gotowy, dziadunio! — szepnął szparko wnuk mały.
— Już gotowy, mój zuchu? Czy gotowy już cały?
— Chodź, dziaduniu, zoboczysz! — I podawszy rączynę,
Wiedzie dziadka wnuk dziarski przez zieloną drożynę.

...Ganek zmienił swój wygląd: dywanowe ma ściany,
Na podłodze i schodkach leżą także dywany;
Wewnątrz ołtarz z obrazem Częstochowskiej Dziewicy.
Jak w kościołku malutkim, jakby w jakiej kaplicy;
Na ołtarzu świec kilka złotym ogniem się płoni —
Na wzniesieniu krzyż stoi pośród kwiecia i woni;
Obrus spada ku ziemi — dziwnie pięknej roboty,
Z symbolicznym Barankiem, który lśni się, jak złoty;
Wejście zdobią firanki pospinane wstążkami;
Zewnątrz słupy od ganku okręcone wiankami.
— Widzisz, dziadziu, te słupy na alei przy końcu?
Na nich strzecha, oparta, złotem lśni się na słońcu —
To jest brama z napisem! — a pisała mamusia,
Żeby uczcić, powitać wchodzącego Jezusia.
— Chodźmy, chłopcze, ku bramie! — trza przypatrzeć się z blizka...
„Bądź pochwalon o Chryste!“ — napis w oczy się ciska.
Starzec głowę swą chyli, setką wiosen zbieloną
I myśl w przeszłość zatapia — w przeszłość dawno minioną...
Wtem ozwały się dzwony na wieżycy kościoła —
Starzec w niebo się patrzy... widzi wspomnień anioła...

Las proporców powiewa: krasne, białe, niebieskie —
Na nich postać Maryi, albo główki anielskie;
Feretrony za niemi — malowidła odwieczne —
Niosą wiejskie dziewczęta — wszystkie strojne, świąteczne.
W wieńcu z kwiecia polnego idzie godło Zbawienia —
Ono jedno trwa wieki i postaci nie zmienia...
Dalej chłopcy w komeżkach pobrzękują w dzwoneczki;
Bliżej dziewcząt gromadka sypie drobne kwiateczki.
Z wonią dymu kadzidła, który idzie do góry,
Idą razem westchnienia, śpiewne wznoszą się chóry...
Pod sklepieniem z purpury lśnią Monstracyi rozblaski,
Bije od nich majestat Miłosierdzia i łaski...
Świece płoną, migocą, słońce jasne przygrzewa —
A lud, modły zanosząc, rzewne pieśni wciąż śpiewa...
Tak bywało od wieków — trwa tradycya i ninie,
Bo co z Boga poczęte, ma moc wieczną — nie zginie.

Ina Śnieżko-Błocka

Rozmowa serca z myślą o piękności.

(Dokończenie).

A więc co do piękności... Tak, kiedyś to było; — nasi pierwsi rodzice np. byli bardzo piękni, dobrze zbudowani, słuszni; następnie mężczyzn starożytności — przedstawiam sobie rosłych, silnych, z pięknie ukształtowanym nosem, oczyma dużemi wyrazistemi, ustami układającemi się do wyznań miłosnych, jak i do rzucania ostrych, wyniosłych wyrazów, którym trzeba było wierzeć, gdy co wypowiedziały (nie mówię tu o piękności kobiecej: pamiętaj, one są zawsze w twych oczach zachwycające — prawda?“ — mówiła myśl drwiąco) — „a więc: mężczyźni dawni, to ideały



W WINIARNI.

były piękności, regularnej budowy, z biodrami wydatnemi, nogami i rękoma silnemi, prostemi (ich matki nie nosiły gorsetów!), z jasnemi obliczami, szyją muskularną...“ — „A włosy“ zauważyło serce, nieśmiało, szczęśliwe, że myśl przecież o jakimś szczególe zapomiała. „Wiem już wiem“ mówiła myśl ostro — nie lubiła, kiedy jej wątek mieszano — „umyślnie wstrzymywałam się z określeniem ich piękności — bo oto szkopuł o który zdania nasze rozbić się mogą. Niektórzy lubią jasne, inni czarne lub brunatne; — ja przemawiam za jasnemi — najlepiej na takich poznać, czy są farbowane...“ Serce znowu nieśmiało zrywało się do odpowiedzi, myśl wpadła mu w słowa: „ach i to wiem, myślisz właśnie o tej andaluzyjskiej piękności, z którą przez cały rok tak serdecznie w Neapolu się bawiłaś; — — o, dobrze, już dobrze, wiem co chcesz powiedzieć, ale wy jesteście

zupełnie niepoczytelni, gdy wami namiętność ogarnie, którą zresztą bardzo łatwo i zimno i mądrze poskromiłaś, czego twierdzić nie można o tej obecnej blondynce... Czego się tak trzęsiesz?"...

Tu naprawdę serce poczęło nienaturalne jakieś ruchy wykonywać; zdołało się jednak opanować i z godnością wyrzekło do strapionej myśli: „Moja pani, to są moje sprawy, sprawy serca — rozumiesz? Proszę zatem usilnie i stanowczo — nie mieszaj się w nieswoje rzeczy; — zresztą ty tego nie rozumiesz." — „O, przezemnie" — odrzekła myśl prędko; widocznem było, że pomimo oratorskiego talentu — własnej stanowczości charakteru brakło jej zupełnie; o to jej przedewszystkiem chodziło, ażeby pozować na mądrość i dokuczyć sercu, to też nie zdobyła się na inną odpowiedź: „Chciałam tylko udowodnić ci, że zdania się różnią co do wyboru kolorów czarnego lub jasnego, — a wam sercom to wszystko jedno; wszak dopiero nieraz po miesiącu znajomości spostrzegacie kolor włosów, a za miesiąc zapominacie, że te, które obecnie są brunatne, przed miesiącem były jasne; — — zmiana mody!... — mówiła znowu ze wzrastającą złośliwością.

Mojem zdaniem jednak, zawsze lepiej wierzyć jasnemu kolorowi; czyś czytało serce kiedy o jakiej rusałce lub zaklętej księżniczce, którąby czarne włosy posiadała? A cudna Loreley? bojąc się pociemnienia swych cudnych włosów, czesała je złotym grzebieniem: Albo Adam i Ewa, o tem ci może każdy malarz powiedzieć, że mieli złote włosy; — albo Homer: Homer musiał być blondynem; tego styl wymaga; nawiasem powiedziawszy, jedyna piękność jaką uznaję! Mogłabym jeszcze tysiące podobnych argumentów przytoczyć". — „Mnie jest to wszystko jedno: jasne czy czarne a szczególnie u kobiet" – mówiło serce nadąsane i w tem — marzącemi oczyma wpatrzyło się w cudownie piękne dziewczę, z oryentalnym typem i ślicznemi czarnemi włosami, — przechodzące ulicą. Myśl to spostrzegła jako i roztargnioną minę serca: „Szczególne jesteście stworzenia. Jestem pewną, że mnie już nie słuchasz. Albo patrzysz za pięknemi kobietami, lub też myślisz o swojej — ubóstwianej blondynce — a może czynisz jedno i drugie równocześnie". „A jeżeli tak, — to co? — odcięło serce — ty także nie jesteś poczytalną, chciałaś prawić o piękności mężczyzn a zeszłaś na czarne i białe kobiety". „Ach!" rozgniewała się myśl — gdyż — czuła, że dotknięto jej czułej struny, — „kiedy się rozmawia z sercami, to zawsze mimowoli rozmowa kończy się — o kobietach".

Myśl i serce — wreszcie jakoś mimowoli, idąc dalej — zaszły w okolicę miasta, gdzie mieszkała owa piękna blondynka. Przestraszone serce — na chwilę, jakby zupełnie zmartwiało; — — w tem, odtrącając myśl tak gwałtownie, że potknęła się i upadła, pozbawiło ją zupełnie swego towarzystwa i szybkim krokiem podążyło na spotkanie ślicznej jasnej postaci — nadchodzącej ulicą. Pod dużym szerokim kapeluszem, widocznemi były jasno-złote wijące się włosy, które otaczały jakby aureolą śliczną białą twarzyczkę z szaremi oczyma i ponsowemi wilgotnemi ustami, które śmiały się uroczo odsłaniając rząd białych i równych jak perełki — ząbków. Serce zdawało się jakby zupełnie zwaryowało, — takie niemożliwe skoki i podrygi wyprawiać poczęło — a zbliżywszy się do ubóstwianej, rozgadało się, rozśmiało — słowem było w cudownym humorze. O myśli, towarzyszącej mu aż dotąd, zapomniało zupełnie, i ta powoli oddalała się z swojemi koleżankami, mrucząc tylko od czasu do czasu gniewnie: „te serca były — są — i pozostaną już — wiecznemi głupcami!"

Dziedziczność charakteru.

Wszystkie stworzenia, czy to w państwie roślinnem, czy w zwierzęcem, są podobne do rodziców swoich, lub w bardzo krótkim czasie po narodzeniu stają się podobnemi do nich nie tylko pod względem zewnętrznej postaci, ale i w objawach swego życia.

Że cechy wspólne całemu rodzajowi przechodzą z rodziców na potomstwo, dowodzić nie mamy potrzeby; ale też i właściwości, należące do rasy lub odmiany, są także dziedzicznemi: gwoździk nie zrodzi tuberozy, chart nie wyda na świat buldoga, a biały człowiek murzyna. Toż samo możemy powiedzieć o dziedziczności pewnych zdolności. Zwierzęta nawet takie, które nie widziały rodziców swoich, przynoszą na świat nie tylko instynkty swego rodzaju, ale nawet i gatunku, jak to można widzieć u owadów, ptaków, zwierząt i ludzi. Nawet cechy i upodobania osobiste przechodzą na dzieci.

Są rodziny, w których nawet pewne nieprawidłości fizyczne przechodzą z ojców na synów w przeciągu wielu stuleci. Tak, naprzykład, jedna z arystokratycznych rodzin Hiszpanii odznacza się tem, że wszyscy jej członkowie rodzą się z sześciu palcami na nogach; inne mają charakterystyczne nosy, uszy, wargi (Habsburgowie, Burbonowie).



ECHO.

Toż samo należy powiedzieć o przymiotach, wadach umysłowych i usposobieniu do pewnych chorób, które przechodzą dziedzicznie na potomstwo. Obserwacye, dokonywane w różnych krajach, wykazały, że suchoty, rak, epilesya przechodzą, jako usposobienie do tych chorób, z rodziców na dzieci, a potomstwo nałogowych pijaków bywa zwykle zwyrodniałe, podlega epilepsyi, idyotyzmowi lub obłąkaniu.

Dlatego też kojarzenie małżeństw pomiędzy bliskiem rodzeństwem od wieków było zakazywane u wszystkich ludów o wyższej kulturze, bo to pociąga za sobą wygórowanie niektórych właściwości rodu, które zmieniają się w kalectwa, a przymioty nawet najlepsze, przechodząc pewną miarkę, stają się przywarami. Gdy, naprzykład, w rysach twarzy widzimy nos bardzo długi lub grube wargi, to w potomstwie w takich warunkach wargi coraz bardziej grubieją, a nos wydłuża się do tego stopnia, że to, co u rodziców nie było uderzające lub piękności twarzy nie szkodziło, w potomstwie ich może stać się potwornem.

Tak samo, jak w rysach cielesnych, wybujanie szczególnych właściwości umysłowych, prowadzi do potworności moralnych. Ze szczególnych chorób, spostrzeganych często u potomstwa małżeństw pomiędzy bliskimi krewnymi, przytoczyć należy niepłodność, głuchoniemotę, skłonność do zboczeń umysłowych, epilepsyi, histeryi itp.

Wogóle obserwacye wiekowe dowodzą, że dziedziczność jest prawem w naturze, a niedziedziczność jest tylko wyjątkiem. Dziedziczność ta bywa bezpośrednią, gdy rodzice przekazują potomstwu swemu właściwości obojga rodziców i w ró-

wnej mierze fizyczne, jak i moralne przymioty, albo jednego tylko z nich, przyczem mogą zachodzić tylko dwa wypadki: albo dziedzictwo przechodzi z ojca na syna, a z matki na córkę — albo przeciwnie.

Drugi rodzaj dziedziczności jest to tak zwany atawizm, który polega na odradzaniu się w potomkach natury dziadka lub prawnuka.

Trzeci rodzaj dziedziczności to dziedziczność poboczna, która nie przechodzi w prostej linii, lecz naprzykład z wuja na siostrzeńca.

Nareszcie dziedziczność przez wpływ, to jest gdy dzieci z drugiego małżeństwa przyjmują naturę ojca z pierwszego małżeństwa. Ten rodzaj dziedziczności nie zdobył jeszcze dotąd dostatecznych dowodów, ale ze względów że istnieje między zwierzętami, a prawa natury dla wszystkich stworzeń na ziemi są jednakowe, możemy ją także przyjąć, jako czwarty rodzaj dziedziczenia.

W sprawie dziedziczności najwięcej interesującem zadaniem jest rozwiązanie zagadek, dla czego ojciec niegodziwy, czasami nawet zbrodniarz zakorzeniały, ma syna poczciwego i cnotliwego, lub też odwrotnie. Ma się rozumieć, że dla objaśnienia tego musimy wejść w sferę przypuszczeń; ale najprawdopodobniejszym jest ten powód, że na ukształtowanie charakteru działa nie tylko dziedziczność, ale także skłonność wrodzona i wychowanie. Że przy urodzeniu się człowiek już posiada pewne ciemne skłonności i odrazy, które bardzo często odgrywają większą rolę w życiu człowieka, aniżeli jasne i świadome pojęcia, świadczy wiele przykładów. Przytoczymy kilka z nich, a przedewszystkiem zwróćmy uwagę na chęć posiadania i na dążność do zrobienia majątków, które są tak upowszechnione u ludzi. Zapytajmy człowieka bogatego, który posiada dosyć dla siebie i dla całej rodziny, aby zapewnić życie spokojne i dostatnie, dlaczego tak ustawicznie dąży do pomnożenia bogactw swoich. Jeżeli jest szczery, odpowie, że życie nauczyło go, iż wielki majątek nie przyczynia się do szczęścia i że to, co posiada, jest aż nadto dostatecznem do wygodnego życia, a jednak czuje jakiś niejasny pociąg do ustawicznego zbierania i gromadzenia, które mu przeszkadza do użytkowania życia i bogactw.

Zresztą dążność do zbierania nie jest tylko wyjątkową skłonnością, bo wszystkie wynalazki i najpotężniejsze przedsięwzięcia wypływają z podobnegoż dążenia. Czyż nie tej skłonności zawdzięczamy istnienie odważnych żeglarzy, wielkich fabrykantów, stosunki handlowe, postępy w przemyśle i naukach? Skłonność do bogacenia się wiąże się w jednych z dążnością do pięknych i szlachetnych uczynków, w drugich zaś do zbytku, do zaszczytów i władzy; ale jak jedni tak i drudzy życzą, aby stać się bogatymi, tak, że ten pociąg można uważać za najgłówniejszy z tych, które kierują wszystkiemi czynnościami ludzi.

Weźmy skłonność drugą, a mianowicie do życia rodzinnego, które jest podstawą bytu świata całego. Ojciec lub głowa rodziny pracuje, zdobywa środki do utrzymania żony i dzieci, — poświęca siły i zdrowie, aby dostarczyć tego, co im potrzeba, — pozbawia się spoczynku, aby ugruntować szczęście rodziny, — nie unika trudów i niebezpieczeństw, aby im tylko dobrze było. Jest to obraz wielkiego i pięknego poświęcenia. Dla socyalistów rodzina wydaje się być zbyteczną. Logika też nic nie ma przeciwko ich zdaniu, ale temu sprzeciwia się natura ludzka, więc pomysł tych poprawiaczy bytu społecznego jest niewykonalny, bo przeciwny naturze ludzkiej i wrodzonej skłonności.

Tu także należy skłonność do towarzyskiego życia, którą prawie bez wyjątku każdy człowiek pasiada.

Skłonności te w człowieku mają wielkie podobieństwo popędu roślin i instynktu zwierząt, ale różnią się tem, że człowiek posiada wolę i może rozkazywać popędom, ulegać im lub sprzeciwiać się i dla tego jest odpowiedzialny za czyny swoje i chęci. Rośliny i zwierzęta, chociaż posiadają wolę, ale rozwój jej u wierząt jest niezbyt wielki, a jeszcze słabszy u roślin.

Domy na drzewach w Nowej Gwinei.

Nowa Gwinea (największa z wysp świata, jeżeli Australię będziemy uważali za ląd stały), leży na zachodniej granicy oceanu Spokojnego, miedzy równikiem a 10° szerokości południowej. Zamieszkują tę wyspę Papuasi, co znaczy „kędzierzawi“, jeden z ludów najmniej kulturalnych. Mają oni skórę brunatną, kształty wysmukłe, zbudowani są silnie. Wyraz ich twarzy przyjemny; czarne włosy na głowie odznaczają się gęstością i twardością; lubią też je zaczesywać z dołu do góry, zbijając w jedną, skudłaną masę. Kobiety zamężne obcinają włosy krótko, mężczyźni zaś często farbują czuprynę na żółto i czerwono. Przypominają Australijczyków bujnym zastrostem brody, tatuawaniem w kształcie nabrzmiałych blizn; ale tatuują się przeważnie kobiety.



Wyścigi z przeszkodami.

Mieszkając w klimacie gorącym, Papuasi nie potrzebują wcale odzieży. To też niektóre plemiona chodzą zupełnie nago; inne mające już pewne poczucie przyzwoitości, osłaniają poniekąd ciało. Dorośli mężczyźni i chłopcy tych ostatnich plemion, noszą pasy, od których z przodu i z tyłu zwieszają się małe fartuszki. Pasy te, fartuszki i naramieniki, wyrabiają z cienkich plastrów kory pewnego gatunku morwy. Korę tę naprzód rozmiękczają, później zaś rozciągają za pomocą skropienia wodą i tłuczenia drewnianym młotkiem, wreszcie pojedyńcze jej kawałki zszywają. Dziewczynki i kobiety noszą spódniczki, zwykle do kolan, zrobione również z kory morwowej, lub z rozmaitych liści i włókien roślinnych. Na fartuszkach męskich i spódniczkach kobiecych zauważyć można bardzo zręczny dobór barw i rozmaite ozdoby. Jak wszyscy prawie dzicy, Papuasi lubią jaskrawe kolory, a zwłaszcza czerwony. Zdaję się, że chcą żywnością barw ubrania dorównać prześlicznemu upierzeniu ptaków. Nowa Gwinea bowiem jest ojczyzną ptaka rajskiego, którego pióra mienią się i błyszczą, jak drogie kamienie.

Na uwagę zasługuje budownictwo Papuasów. Plemiona, zamieszkałe na brzegach wód, budują chaty na palach nad wodą. Przed tysiącami lat, takie same domy na wodzie budowali w Europie jej ówcześni mieszkańcy. Ślady ich znajdujemy w jeziorach między innemi w Gople. Papuasi budują domy wprost w wodzie: w grunt wbijają pale, umocowane poprzecznemi drągami, następnie z długich, wązkich desek układają pomost na którym stoi chata; ściany tej chaty są utworze z drągów, okrytych plecionką z włókien kokosowych, dach urządzają z liści palmy kokosowej, a pochyło ustawiony pień służy do wejścia. W głębi wyspy budują chaty na rozległych płaszczyznach, okryte dachem, sięgającym do ziemi; wejście do do tych chat jest nizkie i wązkie. Inne wreszcie plemiona budują domy na drzewach, zabezpieczając się tym sposobem od napaści dzikich zwierząt. Do mieszkań tych dostają się za pomocą drabinek, skręconych z bambusu i łyka, które na noc wciągają na górę.

Drobiazgi naukowe.

Tkaniny aluminiowe.

Gdy Napoleon nazwał aluminium zaszczytnym przydomkiem „glinianego srebra“, było ono jeszcze bardzo mało znane, bo niedługo przedtem nauczono się wydobywać je z zwykłej gliny. Od tego czasu przemysł aluminiowy rozwinął się ogromnie; gdy dawniej wydobywano je z trudem

w retortach, dzisiaj produkuje się aluminium na ogromną skalę przy pomocy prądu elektrycznego. Jeszcze w roku 1850 kosztował funt aluminium około 100 marek, dzisiaj kosztuje niespełna 1 mk. Dzięki temu aluminium jako materyał surowy zyskał ogromne podstawy. Jeszcze przed dwudziestu laty próbowano robić z niego drobne, ozdobne przedmioty. Próba zawiodła, wyroby nie znalazły popytu, bo z jednej strony barwa nowego materyału nie była zbyt świetna, z drugiej zaś ludzie przyzwyczajeni są oceniać wartość przedmiotów metalowych przeważnie na podstawie ich ciężaru.

Tem bardziej zainteresował się nowym metalem przemysł fabryczny. Aluminium łączy ogromną trwałość z nieporównaną lekkością, można je łatwo krajać, walcować, wyciągać w cieniuteńki drut. W ostatnim czasie zyskały też ogromne uznanie plecionki aluminiowe. Zwłaszcza sita aluminiowe w przemyśle cukrowniczym okazały się bardzo praktyczne, ponieważ szybko pokrywają się warstwą ochronną przez oksydacyę, a wtedy stawiają doskonale opór kwasom i innym pierwiastkom gryzącym.

O nowem zastosowaniu aluminium donosi w ostatnim numerze „English Mechanic". Z najdelikatniejszych drucików aluminiowych i jedwabiu rozpoczęto fabrykować miękkie i piękne tkaniny. Można im nadać dowolną barwę, nadaje się zaś szczególnie na wspaniałe toalety i kostyumy w srebrze. W ślad za pierwszymi próbami poszły inne. Zaczęto używać aluminium do wyrobu chustek na szyję, pasków, bucików i kapeluszy. I w tym kierunku osiągnięto doskonałe rezultaty, dzięki czemu przed przemysłem aluminiowym otwiera się nowe rozległe pole rozwoju.

Kinematograf a medycyna.

Interesujący odczyt o zastosowaniu kinematografu w służbie medycyny wygłosił niedawno prof. dr. Kutner w Berlinie. Żywa fotografia stała się w ostatnim czasie bardzo ważnym środkiem pomocniczym medycyny i to w licznych kierunkach. Praktyczne znaczenie zdjęć kinematograficznych dla chirurgów wykazał dr. Doyen z Paryża, któremu kinematograf służy niejako za zwierciadło kontrolne własnych ruchów przy operacyach chirurgicznych. Słynny lekarz paryski doprowadził zręczność i szybkość do mistrzostwa, czego dowodem może być np. reprodukowana kinematograficznie trudna operacya brzucha, dokonywana przez dr. Doyena z pomocą jednego tylko asystenta i z pomocą narzędzi chirurgicznych wynalezionych przez niego samego. Zdjęcia z jego operacyi są też doskonałym materyałem dla uczniów, którzy na ekranie śledzić mogą każdy ruch profesora, zapamiętać niejeden trudniejszy zabieg przy powtórzeniu demonstracyi. Prelegent berliński dr. Kutner sporządził szereg zdjęć, które i dla szerszego ogółu mogą być bardzo interesujące. Przedstawiają one ratowanie pozornie zmarłych, utopionych lub uduszonych, rozmaite rodzaje masażu itp. Głębiej w tajemnice medycyny wprowadzają zdjęcia dokonane przez profesorów Carvallo (Paryż), Hefftera (Berlin) i Brauna (Wiedeń), przedstawiające wewnętrzne organa i oddziaływanie trucizny na serce żaby. Ponieważ ulubione zwierzę doświadczalne farmakologów, żaba, nie w każdej porze roku i nie przy każdej temperaturze reaguje na działanie trucizn i ponieważ wobec małości objektu doświadczalnego tylko niewielka liczba studentów może brać udział w oryginalnych doświadczeniach, mają te powiększone reprodukcye udanych eksperymentów bardzo doniosłe dla nauki znaczenie.

To samo można powiedzieć o ultramikroskopie wynalezionym przez dr. Siedentopfa i dr. Zeigmonty'ego, a łączącym mikroskop z kinematografem. Aparat ten umożliwia demonstrowanie zarazków chorobotwórczych w krwi chorych i zwierząt doświadczalnych. Wynalazek został następnie udoskonalony przez paryskiego uczonego dr. Commendona. Tajemniczy świat najdrobniejszych żyjątek, który niegdyś odsłaniał się tylko przed okiem poszczególnego badacza, uzbrojonem w mikroskop, lub który był wogóle dawniej niedostępny z powodu za słabych szkieł, staje się obecnie widzialny w ogromnem powiększeniu i w pełnym ruchu dla całej sali słuchaczy wykładu. Widać bakcyle tyfusu i cholery i rozmaite trypanosomy, zwłaszcza zarazki „śpiączki", jak czepiają się ciałek krwi, niby żarłoczne, drapieżne zwierzęta, jak poruszają się szybko w tę i w tamtą stronę niby rój mrówek w zniszczonem mrowisku. Przed oczyma naszemi dzielą się ci wrogowie ludzkości na cząstki, aby dalej prowadzić dzieło zniszczenia w czerwonym płynie żył. A widok tej zdobyczy połączonych sojuszników, medycyny i techniki, musi przejmować podziwem.



Śmieciarka.

Nasze ilustracye.

Przyjęcie „kurka" ofiarowanego przez Zygmunta II Bractwu Strzeleckiemu w Krakowie. — „Kurek" — to godło wszystkich bractw strzeleckich na całej ziemi Polski, pochodzące od czasów Zygmunta II., który w przystępie dobrego humoru „kurek" u rusznicy „przeonaczyć" kazał na „kurka" żywego a wzgl. jego wizerunek.

W winiarni. — Artysta przeniósł nas do owych dobrych czasów, kiedy człowiek wino spijał i rycerskie uprawiał rzemiosło. W owej piwnicy, czy winiarni widzimy obok licznych butelczynek i beczułek starszego rycerza w zbroi gwarzącego z uczonym, no i młodą krasawicą wdzięczącą się i gruchającą z młodym, przystojnym i pełnym fantazji rycerzykiem. Znać dobrze im, bo miny obojga rozswawolone.

Echo. — Piękna to fantazya, przedstawiająca cud-czarodziejkę, zasłuchaną w głosy ludzkie, by im się psocić przez powtarzanie końcówek ich słów, co — jak wiadomo — ludzie echem nazwali.

Wyścigi z przeszkodami. — Jest obrazek pełen humoru, wyjęty z życia. Kilku jeźdźców „od parady“ wybrało się na przejażdżkę, ale w drodze napotkali na rów, którego ominąć nie sposób. Kłują więc konie ostrogami — konie „fik mik“ i... panowie jeźdźcy skąpali się. Nie mamy powodu oczywiście zazdrościć im.

Śmieciarka — to odwrotna strona życia — to obraz niedoli, niedołęstwa, nędzy, jakiej wiele.

Łamigłówki.

Logogryf:

Z sylab: a — brzy — ca — ci — czos — de — dia — diu — dor — dow — dwo — e — fiec — gie — gło — hu — ich — je — je — ka — ki — kon — kor — las — le — liś — łun — mon — na — na — nek — nen — nie — niec — o — o — pian — roz — ski — stro — tant — waf — wan — wer — widz — wie — ze. — zestawić 16 wyrazów, których litery początkowe składają imię i nazwisko sławnego polskiego wodza pod pierwszym Wazą, a końcowe imię i nazwisko hetmana pod ostatnim Wazą.

Znaczenie wyrazów:

1) Nóż do polowania
2) Stopień wojskowy
3) Synonim niezgody
4) Jedna z wysp Liu-Kiu przy Azyi
5) Licha chatka
6) Pokrycie na karawan
7) Oddział wojska
8) Zwierzę drapieżne
9) Bogini polowania
10) Ptak drapieżny
11) Zwierzę żyjące w Egipcie
12) Uczniowie Jezusa
13) Inaczej poduszka
14) Niewolnik
15) Przyprawa roślinna
16) Sławny rokoszanin za panowania Wazów.

Zagadka.

Z sześciu liter całość składam,
Wiele znaczę, choć nie jadam,
Ani piję,
Jednak żyję.
W pierwszej laski trzy przy sobie,
W drugiej kropką zgłoskę robię,
Trzecia w górze przekreślona,
Czwarta w koło otoczona,
Piątą wije wąż misterny,
Szóstą księżyc niezupełny.

Rozwiązania prosimy nadsyłać najpóźniej do 2 czerwca br.

Z rozwiązań trafnych 3 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 24.

Rozwiązania

łamigłówek z nr. 19:

1. *Szarady:*
Czytelnicy.

2. *Kwadratu magicznego:*

6	3	20	12	24
15	22	9	1	18
4	16	13	25	7
23	10	2	19	11
17	14	21	8	5

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,
wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Dyrektor więzienia wtrącił:

— Po nieudanej próbie ucieczki przenieśliśmy więźnia do innej celi.

— Ale pan, panie dyrektorze, widywałeś go przecież w przeciągu tych dwu miesięcy?

— Nie... nie było powodu... zachowywał się tak spokojnie.

— Więc utrzymuje pan, że ten człowiek nie jest więźniem, którego polecono pańskiej pieczy?

— Nie.

— Któż to jest?

— Nie umiem powiedzieć.

— W takim razie przypuścić musimy podstawienie innego człowieka... i podstawienie to dokonało się dwa miesiące temu?...

— Niepodobieństwo!

— A więc?...

Wobec braku wszelkich dowodów prezes zwrócił się do oskarżonego, mówiąc łagodnie:

— Oskarżony! proszę mi powiedzieć, w jakich warunkach i kiedy dostałeś się pan do więzienia?

Zdawało się, że ton dobrotliwy rozbroił nieufność biedaka. Próbował odpowiadać. Wreszcie, po całym rzeregu zręcznych i łagodnych pytań, wykrztusił kilka frazesów, z których wyprowadzono wniosek następujący: przed dwoma miesiącami wzięto go do więzienia Dépôt. Tam spędził noc. Nazajutrz rano go uwolniono. Miał przy sobie siedemdziesiąt pięć centymów. Gdy szedł przez podwórze, nagle dwu stróży wzięło go pod ręce i odprowadziło do karetki więziennej. Odtąd zamieszkał w celi pod Nr. 24, gdzie czuł się wcale nieźle... jedzenie miał dobre... wysypiał się też dowoli... to też milczał.

Wszystko to wydawało się bardzo prawdopodobnem. Wśród śmiechów i ogólnego wzburzenia prezes odłożył sprawę na inny dzień. Tymczasem miano prowadzić śledztwo dodatkowe.

* * *

Śledztwo, rozpoczęte niezwłocznie, dowiodło, rzeczywistości faktu, zapisanego w rejestrach więźniów: 4 tygodnie temu niejaki Dezydery Baudru spędził noc w Dépôt. Uwolniony nazajutrz, opuścił więzienie około 2-giej popołudniu. Tego samega dnia też o 2-giej popołudniu, Areseniusz Lupin, po ukończeniu ostatniej indagacyi odjeżdżał w karetce więziennej.

Czy stróże się omylili? Może wprowadzeni w błąd pewnem podobieństwem sami przez roztargnienie zamienili więźniów? Zakrawało to na pewną uprzejmość, lecz trudno ich było o coś podobnego posądzać, że względu na stanowisko, jakie zajmowali.

Czy zamiana ta była obmyśloną z góry! Pominąwszy fakt, że rozkład miejsca przedstawiał trudność prawie nie do zwalczenia, należało jeszcze przypuścić, że Baudru był wspólnikiem i że dobrowolnie pozwolił siebie zaaresztować. W takim razie jakim cudem plan oparty jedynie na szeregu nie prawdopodobnych trafów, spotkań przypadkowych i bajecznych pomyłek mógł się udać tak świetnie?

Zaprowadzono Baudru do oddziału antropometrycznego: nie było tam żadnej kartki z jego rysopismem.

Natomiast z łatwością trafiono na jego ślady. Znany był dobrze w Courbevoie, Asnières, Levallois. Żył z jałmużny, sypiał w chatkach gałganiarzy, których pełno około rogatki des Ternes. Przeszło od roku zniknął.

Może został zwerbowany przez Arseniusza Lupin?

Nic jednak do podobnych przypuszczeń nie upoważniało. Zresztą, gdyby nawet tak było, fakt ten nie tłomaczył bynajmniej zagadkowej ucieczki więźnia Cud pozostał cudem. Budowano najdziwaczniejsze hypotezy, lecz żadna nie wyjaśniała tajemnicy. Ucieczka tylko nie ulegała wątpliwości, ucieczka niezrozumiała, wytrącająca z równowagi nietylko sąd i policyę. lecz cały ogół. Wszyscy rozumieli, że jest ona wynikiem starannych, drobiazgowych przygotowań, po mistrzowsku ze sobą powiązanych, a których wynik ostateczny usprawiedliwiał w zupełności dumną przepowiednię Arseniusza: „Nie będę obecnym na swym procesie".

Po miesiącu najszczegółowych poszukiwań i dochodzeń zagadka nie wyjaśniła się na jotę. Nosiła ten sam enigmatyczny charakter. Nie można też było do nieskończoności trzymać pod strażą poczciwca Baudru. Proces jego okrywał śmiesznością. Jakie dowody istniały przeciw niemu? To też sędzia śledczy podpisał jego uwolnienie. Lecz prefekt policyi kazał rozciągnąć nad nim dozór najściślejszy.

Autorem tego pomysłu był Ganimard. W mniemaniu inspektora nie było tu ani wspólnictwa, ani przypadku. Baudru był poprostu narzędziem Arseniusza Lupin. Znakomity włamywacz pokie-

rował niem z właściwą sobie nadzwyczajną zręcznością. Śladami Baudru można będzie dotrzeć do samego Arseniusza Lupin, a przynajmniej do kogokolwiek z jego bandy.

Do pomocy Ganimard'owi dodano dwu inspektorów: Folenfant i Dieuzy.

Pewnego styczniowego poranku otwarły się przed Dezyderym Baudru podwoje więzienne.

Z początku wyglądał jak człowiek, który nie wie, dokąd ma iść, ani co począć ze sobą. Minął ulicę la Santé i skręcił w ulicę Sant Jacques. Wstąpił do sklepu tandeciarza, sprzedał kamizelkę i poszedł dalej w jednej tylko marynarce.

Przeszedł Sekwanę. Około Chatelet chciał wskoczyć do tramwaju, lecz miejsca nie było. Kontroler poradził mu wziąć numer i zaczekać na przystanku.

Wszedł do poczekalni.

Ganimard tymczasem przywołał pomocników i nie spuszczając oczu ze stacyi tramwajowej, rzucił im szybko:

— Zatrzymajcie powóz... nie... dwa powozy... tak będzie pewniej. Pojedziemy w ślad za nim.

Agenci spełnili rozkaz. Baudru jednak nie ukazywał się wcale. Ganimard podszedł do drzwi. W poczekalni nie było nikogo.

— Co za idyota ze mnie — mruknął — zapomniałem o drugiem wyjściu.

Stacya łączyła się istotnie zapomocą kurytarzyka wewnętrznego z inną stacyą, położoną przy ulicy Sant-Martin.

Ganimard popędził co sił. Przybył w porę. Na górze tramwaju Batignolles-Jardin des Plantes spostrzegł Baudru. Pobiegł szybko i na rogu ulicy Riwoli dogonił tramwaj. Zgubił jednak obu agentów i musiał śledzić sam.

Był wściekły do tego stopnia, że o mało co nie schwycił Baudru za kołnierz. Z jaką premyedytacyą i jak zręcznie ten bałwan rozłączył go z agentami!

Popatrzał na Baudru. Drzemał na ławeczce. Głowa wciąż mu się kiwała to na prawo to na lewo. W półotwartych ustach, na całej twarzy rozlany był wyraz bezdennej głupoty. Nie, stanowczo nie jest to przeciwnik, któryby starego Ganimarda mógł wyprowadzić w pole.

Dopomógł mu szczęśliwy przypadek — oto wszystko.

Na rogu ulic do Galieres-Lafayettes Baudru wyskoczył z omnibusu i wpadł w tramwaj de la Muette.

Przejechali bulwar Hausmanna, potem aleje Wiktora Hugo. Baudru wysiadł na stacyi la Muette. Krokiem niedbałym skierował się do lasku Bulońskiego. Przechodził z jednej alei w drugą, wracał się, znowu szedł dalej. Czego szukał? Jaki miał cel.

Po godzinie takiej wędrówki zdawał się upadać ze znużenia.

Spostrzegł ławkę. Usiadł. Miejsce to, niedaleko od Auteuil, na brzegu małego jeziorka, ukrytego wśród drzew, było zupełnie puste. Upłynęło pół godziny.

Zniecierpliwiony Ganimard postanowił zacząć rozmowę.

Zbliżył się i usiadł obok. Zapalił papierosa i końcem laski kreśląc koła na drodze, rzekł:

— Za gorąco tu nie jest.

Milczenie.

Nagle wśród tej ciszy rozległ się wybuch śmiechu, śmiechu radosnego, szczęśliwego, rozkosznego... rzekłbyś, szalony śmiech dziecka, które nad swą wesołością zapanować nie zdoła. Ganimard czuł, jak mu włosy się jeżą, stają dęba. Ten śmiech, śmiech piekielny! On go zna tak dobrze!...

Gwałtownym ruchem pochwycił mniemanego Baudru za skraj marynarki i wpatrywał się weń badawczo, natrętnie przenikliwie, usilniej niż na posiedzeniu sądowem. Stanowczo był to inny człowiek. Niby ten sam, a jednak inny prawdziwy.

Wysiłkiem woli uchwycił ogień płonący dawniej w tych przygasłych oczach; zaokrąglił w myśli twarz wychudzoną, podkładał ciało pod znędzniałą skórę, wykrzywione usta doprowadzał do ich pierwotnego zarysu. Oczy tamtego! usta tamtego, przedewszystkiem zaś ten charakterystyczny wyraz twarzy, pełen życia, ironii, sprytu świeżości i wesela!

— Arseniusz Lupin! Arseniusz Lupin! — wyjąkał.

Nagle, ogarnięty wściekłością bezsilną, pochwycił go za gardło i starał się powalić. Pomimo lat pięćdziesięciu odznaczał się wyjątkową siłą, tymczasem przeciwnik jego wyglądał dosyć nędznie i marnie.

Jeżeli go zwycięży i odprowadzi do więzienia, będzie to czyn, godny mistrza.

Walka była krótka. Arseniusz Lupin zdawał się wcale nie bronić, lecz Ganimard wypuścił swą zdobycz równie szybko, jak ją pochwycił. Prawe ramię zwisło bezwładne, zesztywniałe.

— Gdybyś pan się był uczył dziu—dżicu na Quai de Orfèvres — zaczął Lupin — wiedziałbyś, że uderzenie takie nazywa się po japońsku udi-shi-ghi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR 22

(Ciąg dalszy.)

Ochotnicy polscy, chociaż jeszcze urzędownie nie zaciągnięci pod sztandary Rzeczypospolitej, zarówno z Lafayettem, towarzyszyli pochodowi, radzi, że się sposobność do czynu stręczyła. Skosztowali pierwszy raz trudów i niebezpieczeństw przeprawy wśród tych puszcz, błot i gąszczy, ciągnąc przez moczary w porze dżdżystej, krajem, który tysiące strumieni i trzęsawisk przerzyna.

Każda z tych ogromnych rzek nowego świata, płynących szerokiem korytem i każdy ze zgniłych strumieni i błot je otaczających, przebywać potrzeba było w bród lub na pospiesznie skleconych promach i tratwach.

Tak wojska przebyły Shuykill, oprócz wielu pomniejszych.

Obóz znużonych pochodem spiesznym Amerykanów, rozsiadł się nad mokremi brzegami Brandywine. Po prawej jego stronie cała sieć strumieni wezbranych deszczami biegła uchodząc do rzeki; z przeciwnego brzegu nieopodal, rozłożyli się byli Anglicy, widocznie zagrażając Filadelfii.

Howe dnia 25 sierpnia wylądowawszy w zatoce Chesapeake, przebrnął tylko rzekę Christianę i stał nad Brandywine, obrawszy na ten raz dosyć korzystne stanowisko.

Rzeka w tem miejscu niezbyt głęboka szeroko rozlewała się błotnistemi trzęsawiskami, które czarny cyprys gęsto porastał.

Zaledwie się przeciwko siebie znaleźli, Washington niecierpliwy zażądał bitwy..

Z obu stron się do niej przygotowywano.

Rankiem dnia 11 września huk dział zapowiedział starcie.

Jeszcze raz wielki wódz, a nadewszystko wielki mąż, niezłamany niczem, miał doznać upokorzenia i klęski i ochotnikom polskim, jakby ojczyzny swej przeznaczenie przynieśli z sobą, dostało się poczynać od niepowodzenia. Ale mieli zarazem okazać męztwo świetne i pogardę śmierci bohaterską.

Plan Anglików zasadzający się na fałszywym ataku z jednej, a oskrzydlenia Amerykanów z drugiej strony, powiódł się im zupełnie.

Całe ich siły rozdzielone były na dwa dosyć silne oddziały, prawem skrzydłem dowodził generał Knyphausen. Ten miał przejść Brandywinę, ściągnąć na siebie główne siły, gdy lewe skrzy-

dło angielskie Cornwallisa okrążywszy sieć ową strumieni i bagien nadrzecznych dalszą drogą — tył i prawe amerykanów skrzydło najść i otoczyć miało.

Przebrnięcie strumieni i moczarów nie było trudnem, wojska regularne posłuszne i karne, powodowały się lepiej niż podwładni Washingtona, którzy jego rozkazów nie spełniali ściśle.

Dzień to był nieszczęśliwy dla wodza, bolesny dla żołnierzy, a dla tych, co po raz pierwszy dobyli oręża w sprawie swobody nad wszelki wyraz przykrzejszy. Anglicy wykonali co zamierzyli.

W pierwszym napadzie żołnierz republikański natchniony uczuciem, idący z przekonania, przebił się zwycięzko, ale się oparł o żołdactwo jak mur stojące — i złamać go a pokonać nie mógł... Stracił potem wiarę w siebie i przytomność.

Przełamawszy na pierwszem uderzeniu Knyphausena ochotnicy wytrwać nie potrafili, Cornwallis tymczasem groził zajęciem tyłów i opasywać zaczynał z prawej strony.

Gdy Washington chcąc nie dopuścić przejścia Brandywine Knyphausenowi, skupił przeciwko niemu całe siły swoje, brygady Stephensa, Sterlinga, Sullivana — nie zdołały same stawić czoła Cornwallisowi — oddział jego wyparłszy je, groził opasaniem...

Bitwa po krótkiej chwili początkowego powodzenia, do którego niezmierny zapał ochotników, Lafayette i Pułaskiego się przyczynił — widocznie zagrażała klęską wielką.

Musiano plan już niewykonalny zmienić i cofać się ręką obronną, aby uniknąć zabierającego tył Cornwallisa.

Dywizya generała Waine, dłużej też przeciw przeważającym siłom Knyphausena wytrwać nie mogła.

Bój ten, w którym nadzwyczajne rozpaczliwego męztwa dowody dawali wszyscy — trwał od świtu do nocy... Ochotnicy z zielonemi gałęźmi na kapeluszach, z okrzykami lecieli na murowane szeregi Anglików, dokazywali cudów chwilowo, ale się rozbijali w końcu o te wyćwiczone, chłodne i posłuszne szeregi.

Ani przybycie spóźnione generała Griena, ani męztwo żołnierza, ani zimna krew Washingtona, nie zdołały zapobiedz klęsce.

Dzień ten, który w kronice N. Świata żałobną pozostał pamiątką, wsławił się też poświęceniem Lafayetta, Pułaskiego i jego towarzyszów.

Pułaski rozpromieniony, przeżegnawszy się przed bojem starym zwyczajem, w ryngrafie z M. Boską, w konfederatce, rzucił się razem z konnicą na nieprzyjaciela, szczęśliwy jakby mu wyrosły skrzydła... Karól i Rogowski nie odstępywali go na krok...

Saracenka zbroczyła się krwią angielską, której podobno dotąd w długiem życiu nie kosztowała jeszcze.

Rogowski w spotkaniu z chmurą czerwonych dragonów, dostał raz przez głowę, który mu skórę przeciął na czaszce, ale za to, utrzymywał, że zuchwałego dragona trupem położył.

Lafayette podobny do anioła boju, wybrał się na potyczkę świetnie, zbrojno, jak na królewskie pokoje, usta mu się uśmiechały...

Wmieszany w szyki razem z żołnierzem, około południa ranny był w nogę, ale chustką ją tylko obwiązawszy, nie dał się odwieść z pola i walczył do nocy.

Czemże to taki bój bez nadziei wygranej! smutną walką w obronie życia lub tylko zemstą nieludzką.

Trzeba było w końcu ustąpić z placu i nie dając się rozpierzchnąć niedobitkom, uchodzić.

Washington zniósł tę klęskę nową ze stoicyzmem filozofa, a raczej z energią człowieka, który ufa w swą siłę.

Nic nie uszło jego oka, ani zachwiało krwią chłodną. Patrzał na harce ochotników z uśmiechem, na cofanie się wojsk z boleścią, ale na marmurowej jego twarzy pod koniec dnia nie widać było ani zniechęcenia, ani ducha upadku.

— Uczymy się zwyciężać! — rzekł wieczorem do Lafayetta — ale drogo płacimy lekcye nasze.

Niepowodzenie to w wojsku amerykańskiem nie zrobiło też zbyt złego wrażenia; ochotnicy byli nawykli do nieszczęśliwych potyczek, które wynagradzali sobie, nużąc nieprzyjaciela, napastując go i ścigając.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Mimo to, jednego dnia księżna Elżbieta podała Turge'mu do wyczyszczenia nóż z złotą rękojeścią, który służył jej do krajania owoców. Turgy domyślił się, że w tem coś być musi i ocierając nóż w rączce jego znalazł list.

List ten zawierał cały alfabet heroglifów.

Turgy oddał nóż księżnie Elżbiecie, ale znajdujący się tam urzędnik nóż skonfiskował.

Wówczas to niezmordowany kawaler de Maison-Rouge wymarzył ten drugi zamach, który miano dokonać za pośrednictwem domu nabytego przez Dixmera.

Tymczasem uwięzione, powoli straciły wszelką nadzieję.

Tego dnia królowa, przestraszona wrzawą, która z ulicy aż do niej dochodziła, dowiedziawszy się, że celem tej wrzawy było obrażenie żyrondystów, tej ostatniej podpory umiarkowania, śmiertelnego doznawała smutku. Ze śmiercią żyrondystów bowiem, rodzina królewska utracała wszelkich swych obrońców.

O godzinie siódmej podano wieczerzę. Urzędnicy według zwyczaju obejrzeli każde danie, rozwinęli każdą serwetę, widelcami pokłuli chleb, pokruszyli makaroniki i orzechy, a to wszystko z obawy, czy w czem niema listu do uwięzionych; następnie po dopełnieniu tych ostrożności, temi prostemi słowy zaprosili królową i księżniczki do stołu.

— Wdowo Kapet możesz jeść.

Królowa ruszyła głową na znak, że nie głodna. Lecz w tej chwili córka królewska, całując matkę rzekła jej do ucha:

— Siadaj matko do stołu, zdaje mi się, że Turgy, chce nam dać jakiś znak.

Królowa zadrżała i podniosła głowę. Turgy stał naprzeciw niej, na lewej ręce zawiesił serwetę, a prawą dotknął oka.

Wstała więc natychmiast bez dalszych sporów i zajęła zwykłe swe miejsce przy stole.

Obaj urzędnicy obecni byli przy wieczerzy zabroniono im choćby na chwilę zostawiać uwięzione sam na sam z Turgy'm.

Nogi królowej i księżnej Elżbiety spotkały się pod stołem i ścisnęły się nawzajem.

Ponieważ królowa siedziała wprost naprzeciw Turge'go, nie uszedł więc jej baczności żaden ruch tego chłopca.

Zresztą tak on je czynił naturalnie, iż nie zwróciły na się najmniejszego podejrzenia urzędników.

Po wieczerzy zdjęto całe nakrycie z temiż samemi co poprzednio ostrożnościami: zebrano i obejrzano najmniejszą okruszynę chleba, poczem Turgy wyszedł najpierwszy, a za nim urzędnicy, lecz została stara Tison.

Od czasu jak ją rozłączono z córką, o której losie niewiedziała, ta kobieta stała się prawie dziką.

Ilekroć królowa całowała swą córkę, zawsze Tison wpadała w wściekłość podobną do szaleństwa; królowa też, której macierzyńskie serce pojmowało tę boleść matki, zatrzymywała się częstokroć w chwili, gdy kosztować miała tej pociechy, teraz już jedynej.

Tison przyszedł po żonę, lecz ta oświadczyła, że nie odejdzie aż wdowa Kapet położy się. Wtedy księżna Elżbieta pożegnała królowę i wyszła do swego pokoju.

Królowa rozebrała się i położyła, córka także uczyniła to samo; wtedy stara Tison wzięła świecę i wyszła.

Urzędnicy spoczywali już w korytarzu na swych łóżkach z pasami.

Księżyc, ten blady gość uwięzionych, przez szczelinę w daszku nad oknem, wpuścił swój promień aż do stóp łóżka królowej.

Przez chwilę w pokoju panowała najgłębsza cisza. Potem drzwi się leciutko otworzyły: po pro-

mieniu tym przesunął się jakiś cień i zbliżył do główłóżka.

Była to księżna Elżbieta.

— Czy widziałaś? — spytała po cichu.

— Widziałam — odrzekła królowa.

— A zrozumiałaś?

— Tak dobrze, iż nawet wierzyć temu nie mogę.

— Obaczmy, powtórzmy znaki.

— Naprzód dotknął oka, dając nam znać, że przynosi jakąś wiadomość.

— Potem przełożył serwetę z lewej ręki na prawą, co znaczy, że zajmują się oswobodzeniem naszem.

— Potem podniósł rękę do czoła, na znak, że pomoc przychodzi nam z kraju nie z zagranicy.

— Potem kiedyś mówiła mu, aby nie zapominał jutro o mleku, zrobił na chustce dwa węzły.

— A tak, jestto więc znowu kawaler de Maison-Rouge? Co za szlachetna dusza!

— To on — powiedziała księżna Elżbieta.

— Czy śpisz córko? — spytała królowa.

— Nie matko — odpowiedziała księżniczka.

— No, to módl się za kogo wiesz.

Księżna Elżbieta wróciła jak najciszej do swego pokoju, a przez pięć następnych minut słyszano głos młodej księżniczki rozmawiającej z Bogiem w pośród nocnej ciszy.

Było to właśnie w chwili, gdy na znak Moranda, pierwszy raz uderzono motyką w domu przy ulicy de la Corderie.

IV.
Chmury.

Pierwsze spojrzenia przy powitaniu upoiły Maurycego, lecz zawiodło go zupełnie oczekiwanie przyjęcia, jakiego dozna u Genowefy; liczył na samotność, mniemał, że wróci znowu na drogę z której zboczył, lub z której zdawał się przynajmniej zbaczać w biegu swych uczuć, atoli omylił się.

Genowefa postępowała według ułożonego przez się planu; umyślnie unikała sposobności znalezienia się z nim sam na sam, pomna, że taka chwila mimo całej swej słodyczy zawsze dla niej niebezpieczną była.

Maurycy sądził, że nazajutrz rzeczy pójdą inaczej; lecz jakaś krewna, zapewne uprzedzona przyszła w odwiedziny, a Genowefa zatrzymała ją. Tym razem nie mógł nic mówić; gdyż nie było to może winą Genowefy.

Gdy wychodził uproszono go, aby odprowadził tę krewną na wały św. Wiktora.

Czynił to z widoczną niechęcią, ale Genowefa uśmiechnęła się, wziął więc ten uśmiech za obietnicę.

Niestety! jakże się mylił.

Nazajutrz 2 czerwca, w ten okropny dzień upadku żyrondystów, Maurycy pożegnał Lorina, który go chciał koniecznie zabrać z sobą na konwencyą, i poszedł odwiedzić przyjaciółkę.

Bogini wolności straszną miała rywalkę w Genowefie.

Maurycy zastał ją w małym salonie, przyjęła go z całym swym wdziękiem i uprzejmością, lecz miała przy sobie młodą pokojówkę z trójkolorową kokardą, która siedząc przy oknie znaczyła chustkę i wcale się z miejsca nie ruszyła.

Maurycy zmarszczył brwi: Genowefa spostrzegła, że jest w złym humorze podwoiła więc swą uprzejmość, ale ponieważ nie kazała odejść służącej, Maurycy zniecierpliwił się i pożegnał ją o godzinę prędzej jak zwykle.

Wszystko to może przypadek, myślał Maurycy i znowu był cierpliwy.

Tego wieczoru zresztą, położenie rzeczy tak było groźne, że chociaż od niejakiego czasu nie wdawał się w politykę, wieści powszechne doszły jego uszu.

Dopiero upadek stronnictwa, które przez dziesięć miesięcy rządziło Francyą, zdołał na chwilę zagłuszyć w nim miłość.

Nazajutrz znowu to samo postępowanie ze strony Genowefy: Maurycy przewidując ten system, podobnież plan sobie ułożył: w dziesięć minut po swojem przybyciu, widząc, że pokojówka naznaczywszy tuzin chustek, zabiera się znaczyć sześć tuzinów serwet, wydobył zegarek, ukłonił się Genowefie i wyszedł, nie mówiąc ani słowa.

Co większa odchodząc, ani się nawet nie obrócił.

Genowefa wstała chcąc patrzeć za nim, gdy przechodzić będzie przez ogród i na chwilę straciwszy wszelką myśl, blada, wzruszona, padła na krzesło zupełnie pokonana jego dyplomacyą.

W tej chwili wszedł Dixmer.

— Czy Maurycy poszedł? — spytał zdziwiony.

— Tak jest — wyjąkała Genowefa.

— Ależ niedawno co przybył.

— Prawie przed kwadransem.

— To może wróci.

— Wątpię.

— Zostaw nas, Konwalio — powiedział.

Pokojówka przybrała nazwisko tego kwiatu przez nienawiść dla imienia Maryi, które na nieszczęście nosiła wraz z Austryaczką.

— Na wezwanie pana wstała i wyszła.

— I cóż! kochana Genowefo — spytał Dixmer — pogodziłaś się z Maurycym?

— Przeciwnie, mój przyjacielu, sądzę, że obecnie obojętniejsi jesteśmy dla siebie jak kiedykolwiek.

— I któreż z was winno teraz? — spytał Dixmer.

— Rozumie się, że Maurycy.

— Obaczmy, zrób mię waszym sędzią.

— Jakto! — rzekła zapłoniona Genowefa — alboż nie zgadujesz?

— Co go gniewa? nie.

— Zdaje się, że coś upatrzył do Konwalii.

— Doprawdy? No, to trzeba ją odprawić. Dla jednej pokojówki nie pozbawię się takiego przyjaciela jak Maurycy.

— O! — zawołała Genowefa — nie sądzę, żeby chciął wymagać wydalenia jej z mego domu, i że poprzestanie...

— Na czem?

— Na wydaleniu jej z mego pokoju.

— I słusznie — rzekł Dixmer. — Maurycy odwiedza ciebie, a nie Konwalię, nie trzeba więc, aby tu się znajdowała podczas jego bytności.

Genowefa zdziwiona spojrzała na męża.

— Ależ, mój przyjacielu... — rzekła.

— Genowefo — przerwał Dixmer — sądziłem, że mam w tobie sprzymierzeńca, który mi dopomoże do uskutecznienia powziętego zamiaru, a tymczasem przeciwnie, obawy twoje przymnażają mi tylko trudności. Cztery dni temu mniemałem, że już wszystko między nami skończone, a teraz widzę, że znowu wszystko naprawiać muszę. Czyliż nie powiedziałem, że ufam ci zupełnie, że rachuję na twój honor? Czyliż nie mówiłem, że Maurycy koniecznie zostać winien naszym poufałym przyjacielem i mniej jak dotąd niedowierzającym? O! mój Boże, dlaczegóż kobiety wiecznie krzyżują nasze zamiary!

— Ależ, dla Boga! czyż nie możesz obmyśleć innego środka? Powiedziałam ci, że lepiej byłoby dla nas wszystkich oddalić Maurycego.

— Tak dla nas wszystkich, być może, ale dla tej co jest nad nami wszystkimi, dla tej, której poprzysięgliśmy poświęcić nasz majątek, życie i nawet szczęście, dla tej, mówię, Maurycy winien znowu wejść z nami w stosunki. Czy wiesz, że Turge'go mają w podejrzeniu, i słychać, że księżnom dać mają innego sługę?

— Dobrze, odprawię Konwalię.

— Eh! moja Genowefo — rzekł Dixmer ze zbyt u niego rzadką oznaką niecierpliwości, — po cóż mi to mówisz? Dlaczegóż ogień myśli mojej zadmuchujesz twoim? Dlaczegóż tworzysz mi trudność w trudności? Genowefo, uczyń, jak uczciwa i poświęcająca się kobieta uczynić winna; tego tylko żądam, jutro nie będę w domu, bo zastępuję Moranda w jego inżynierskich pracach. Nie będę z wami na obiedzie, ale on będzie, ma on o coś prosić Maurycego, i sam ci to powie. Zważ Genowefo, że wymagać będzie po nim bardzo ważnej rzeczy, nie jest to cel do którego dążymy, lecz środek, lecz ostatnia nadzieja tego człowieka tak dobrego, szlachetnego i poświęcającego się, tego protektora nas obojga, któremu życie nasze winniśmy ponieść w ofierze.

— I dla którego chętniebym to uczyniła! — z zapałem zawołała Genowefa.

— Dobrze więc, Genowefo, nie wiem, czemu przypisać, że dotąd nie umiałaś wzbudzić w Maurycym przywiązania ku temu człowiekowi, co jednak najważniejszą było rzeczą. I dziś, Maurycy z twojej przyczyny będący w złym usposobieniu umysłu, odmówi może prośbie Moranda, prośbie, która za wszelką cenę musi być wysłuchana. Czy chcesz teraz Genowefo, abym ci powiedział do czego doprowadzi Moranda cała twoja delikatność i sentymentalność.

— O! panie — zawołała Genowefa załamując ręce i bledniejąc — panie, nie mówmy już o tem.

— A więc — przerwał Dixmer, kładąc usta na czole żony — uzbrój się w odwagę.

I wyszedł.

— Boże! Boże! — z rozpaczą rzekła Genowefa — z jakimże gwałtem narzucają mi tę miłość, ku której wyrywa się cała dusza moja!

Nazajutrz, jak powiedzieliśmy, przypadała dekada.*)

Rodzina Dixmera podobnie jak wszystkie inne rodziny mieszczan w owej epoce, według zadawnionego zwyczaju dłuższe i więcej ceremonialne wyprawiała obiady w niedzielę, jak w dni powszednie, Maurycy zaproszony na taki obiad raz na zawsze, dotąd nie opuścił żadnego. Tego dnia, chociaż dopiero o drugiej godzinie siadano do stołu, Maurycy przybywał o południu.

Wnosząc po sposobie, w jaki się z nią rozstał po raz ostatni, Genowefa wątpiła, czy go jeszcze kiedy zobaczy.

---

*) Zamiast niedzieli co 10 dni święto.

W rzeczy samej, minęło południe, pół do pierwszej, nakoniec pierwsza, a Maurycy nie przybywał.

Niepodobna opisać, ile przez ten czas oczekiwania, doznawało udręczeń serce Genowefy.

Z razu ubrała się jak najskromniej, potem widząc, że Maurycy opóźnia się, powodowana wrodzonem kobiecie uczuciem zalotności, przypięła kwiatek do boku, drugi umieściła we włosach i czekała znowu, czując, że serce jej coraz bardziej ściska się. Tak upłynął jej czas prawie aż do chwili siadania do stołu, a Maurycego widać nie było.

Na dziesięć minut przed drugą Genowefa usłyszała tętent cwałującego konia; poznała, że to koń Maurycego.

— Oh! otóż jest — zawołała — miłość pokonała w nim dumę. Oh! on mnie kocha! kocha!

Maurycy zeskoczył z konia, dał go ogrodnikowi do potrzymania, ale nie kazał prowadzić do stajni.

Genowefa spostrzegła to i mocno była niespokojna.

Maurycy wszedł; tego dnia jaśniał całym blaskiem swej piękności. Obszerny czarny frak z wyłogami, biała kamizelka, żółte łosiowe spodnie, odznaczające nogę utoczoną na wzór Apolina, biały batystowy kołnierz i piękne czarne włosy spadające w koło szerokiego i gładkiego czoła, czyniły go typem siły i wytworności.

Wszedł; jak powiedzieliśmy, obecność jego rozsadzała serce Genowefy; przyjęła go promieniejąca.

— Ah! przecież — rzekła podając mu rękę — zapewne zostaniesz pan u nas na obiedzie?

— Przeciwnie, obywatelko — zimno rzekł Maurycy — przybyłem prosić cię o zezwolenie na mą nieobecność.

— Jakto, na nieobecność?

— Tak jest, powołują mię zatrudnienia w sekcyi. Przybyłem tu jedynie z obawy, abyś pani na mnie nie czekała i nie obwiniła o niegrzeczność.

Genowefa uczuła, że serce jej na chwilę swobodne, znowu się ściska.

— O! mój Boże! — rzekła — Dixmer dziś nie będzie w domu na obiedzie, spodziewał się, że wróciwszy, zastanie pana i kazał mi zatrzymać go.

— Ah! teraz pojmuję, dlaczego pani tyle na mnie nalegasz. Trzebaż było aż rozkazu twego męża. I ja się tego nie domyślałem. Doprawdy, ja się widać nigdy nie poprawię.

— Maurycy!...

— Ależ to ja, pani, winienem stosować się raczej do twych czynów jak do słów. Ja powinienem zrozumieć, że jeżeli Dixmera nie ma w domu, tem bardziej i mnie bawić tu nie wypada. Nieobecność jego tylkoby przymnażała pani kłopotu.

— A to dlaczego? — bojaźliwie spytała Genowefa.

— Bo od czasu, jak znowu bywam tu, zdajesz się pani naumyślnie unikać mię, bo bywam tylko dla pani, dla pani samej, wszak na Boga! powinnaś pani o tem wiedzieć, a jednak zamiast pani zawsze zastaję kogoś innego.

— No, no — rzekła Genowefa — otóż jeszcze gniewasz się przyjacielu, a jednak czynię jak mogę najlepiej.

— O! nie, Genowefo, możesz mi pani jeszcze lepiej uczynić, bo albo przyjmować mię tak jak poprzednio, albo wypędzić wcale.

— Maurycy — czule powiedziała Genowefa — chciejże wejść w moje położenie, zrozumiej moje zgryzoty i przestań być takim dla mnie tyranem.

To mówiąc młoda kobieta zbliżyła się ku niemu i smutnie nań spojrzała.

Maurycy milczał.

— Lecz czegóż żądasz odemnie? — dodała.

— Chciałem kochać cię Genowefo, bo czuję, że teraz bez miłości żyć już nie mogę.

— Maurycy, przez litość!

— W takim razie, pani — zawołał Maurycy — trzeba było pozwolić abym umarł.

— Abyś umarł!

— Tak, abym umarł, lub zapomniał.

— Mogłeś więc zapomnieć, ty! — zawołała Genowefa i łzy trysnęły jej z serca do oczu.

— O! nie, nie — szepnął Maurycy padając na kolana — nie Genowefo, umrzeć mogłem, ale zapomnieć, nigdy, nigdy!

Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Są wymagania serca... życia... których dzieci nie zaspokoją... brak wam będzie w życiu żywiołu koniecznego...

— Który mi był wstrętnym i nieznośnym, przerwała, Helma.

Dr. Arnheim patrzał w książkę unikając widocznie jej wzroku.

I znowu po namyśle z pedancką powagą począł, jakby wykładał z katedry...

— Natura w razach ostatecznych, w wypadkach stanowiących o przyszłości dała człowiekowi oprócz rozumu instynkt cudowny... Padając z wyżyny nie myślimy i nie rozumiemy, chwytamy, co pod rękę się nawinie... w ciemnościach czujemy przed sobą przepaście i mury... W sprawach ducha ten instynkt silniejszym jest jeszcze, radźcie się go...

— Instynkt milczy — odparła Helma — lub wskazuje mi was, dostojny przyjacielu.

Przyjaciel widocznie był skłopotany.

— Zamiast podać mu dłoń — dodała Helma — wolałabym ten związek rozerwać stanowczo...

To, co się raz rozerwało, napowrót związać się nie da... Rany serca się nie goją.. nadto się znamy oboje...

Doktor milczał przewracając kartki książki, zdawał się głęboko w myślach zatopiony...

— Lecz rodzice wasi wymagają.. radzą... życzą...

— Ojciec dla majątku, matka dla odzyskania wnuczki, lecz cóż ja odzyskam? — Nie męża, bo on być dla mnie nim przestał... Wolę być wdową i wolną.

To mówiąc stanęła u stolika, przy którym siedział dr. Arnheim, i poczęła mówić, wzrokiem próżno szukając jego spuszczonych oczów.

— Tak, wolę być wolną, zapomnieć o przeszłości i — któż wie — rozpocząć może życie na nowo, — z większą znajomością ludzi, z szczęśliwszym wyborem towarzysza podróży...

Zamilkła na chwilę.

— Naówczas mogłabym jeszcze skosztować szczęścia, któregom nie znała.

— Zależycie od rodziców — odezwał się Arnheim cicho — jesteścież pewni, że wybór radzcy — którego głos byłby stanowczym, zgodziłby się z waszym...

Drugi raz iść przeciw jego woli — tegobym wam nie życzył...

— Zdaje mi się — że mnie nie chcecie zrozumieć... szepnęła jakby z urazą kobieta — radzcy chodzi o wnuków nie o mnie.

Milczenie nastąpiło po tych rzuconych kilku słowach. — Dr. Arnheim wstał i jakby roztargniony poszedł do okna, głęboko zamyślony, przejęty, zdawał się ważyć i rozważać... kilka razy jakby mówić poczynał i wyrazy zamierały mu na ustach.

— Mówcie — mówcie — zawołała Helma — chcę wiedzieć otwarte, szczere zdanie wasze... Nie będę wam taiła, że w tem wszystkiem i o losy naszej świętej przyjaźni, naszego związku serc i duchów idzie... Jeżeli ten człowiek wróci do domu — on rozerwie te węzły...

— Dla was to może być obojętnem, bo wy znajdziecie drugą przyjaciółkę — ja nie sądzę, bym podobnego wam przyjaciela mieć mogła...

Z pewnem wzruszeniem dokończyła, Arnheim podniósł głowę — i wyciągnął rękę...

— Jeżeli idzie o to, bym ja się poświęcił — rzekł — możecie mnie wygnać — pójdę...

— Tu właśnie idzie o to, abyście mogli pozostać! — rumieniąc się dodała Helma żywo.

— Pozostać i być sam ciężarem a zawadą... — rzekł doktor — nie.

Rozmowa wprowadzona na ten tór zagadkowy — nie śmiejąca dotknąć wyraźnie tego, co chciała wiedzieć Helma — groziła, że może pozostać bezskuteczną. — Arnheim widocznie unikał stanowczego wyrazu — zdał się jej zimnym i wahającym...

— Dostojny mój przyjacielu — przerwała nagle kobieta z widocznem zniecierpliwieniem — nie jesteśmy dziećmi, mówmy jak dwoje ludzi, co dla siebie tajemnic mieć nie powinni i co są wyżsi nad formy światowe.

— Bądź otwartym. Przyjaźń wasza dla mnie jestli rozrywką dla was i roztargnieniem czy potrzebą? — Wy w mojem życiu zajęliście miejsce, którego nic i nikt zapełnić nie może. Chcecie mojej ręki czy nie? Uwolnię ją od pęt, co mnie wiążą, i oddam wam.

Arnheim spojrzał powolnie i długo na mówiącą.

— Możecież wątpić, że przyjąłbym ją z wdzięcznością? Sambym po nią dłoń wyciągnął, gdybym był pewien, że to was z rodziną nie poróżni, nie ściągnie gniewu ojca i nie postawi znowu w położeniu ciężkiem, w jakim się sam znajduję. Znacież wy położenie niemieckiego literata, profesora i uczonego, który nie ma szczęścia być żadnym Hof i Regierungsrathem a jest współredaktorem jakiegoś pisma lub skromnym prywatdocentem? Gutzkow poderżnął sobie gardło, na Freiligrathów składać się musiano, co dzień jeden z nas umiera z głodu! Największą pracą na chleb powszedni zarobić sobie nie podobna! Czemże ja się z wami podzielę? moją troską i niedostatkiem?

Helma zamyśliła się.

— Jestże tak źle z wami? — spytała — to nie może być? Pracowalibyśmy we dwoje.

— I nie moglibyśmy na jedno życie zapracować — dodał dr. Arnheim. — Zostańmy jak jesteśmy, przyjaciołmi, nie chcę was gubić.

Osobliwsza ta miłość czy przyjaźń skończyła się ścisłym obrachunkiem — oboje stali nie wiedząc, co mówić więcej.

Helma była zadumana.

— Lecz radzca nie opuści... on was szacuje a będzie dumnym mając przy sobie.

Arnheim się uśmiechnął.

— Spytajcie się go — rzekł — powiedźcie mu otwarcie wszystko, niech on wyrzeka o naszych losach. Bądź co bądź, zostaniemy, jak byliśmy, przyjaciółmi na zawsze!

— Przyjdź jutro! — zawołała Helma, żywo wyciągając doń rękę — przyjdź jutro — o tej samej godzinie. Ufaj mi — nasze dusze zbyt się dobrze rozumieją, aby je mógł los rozdzielić. Wierzę w predestynacyą.

Cichym szeptem poufałym skończyła się dziwna rozmowa, profesor wyszedł, ale na twarzy jego nie widać było uszczęśliwienia, rysy jej pozostały oblane chłodem jakimś i przybraną powagą. — Helma długo namyślała się chodząc samotna po salonie, zeszła potem do matki i tu czekała na ojca. Radzca ku południowi wrócił z miasta. Zobaczywszy córkę domyślił się, że przyniosła mu odpowiedź żądaną.

— No — odezwał się zaledwie zrzuciwszy okrycie — dosyć już tego wahania się — trzeba stósowne uczynić kroki do zgody... Namyśliłaś się?

— Tak jest!

— Pójdziesz do niego?

— Nie — ale do rozwodu — odezwała się Helma. Radzca krzyknął ręce podnosząc, nie dała mu mówić i ciągnęła dalej: — Synom naszym należy badź co bądź część z jego majątku — ja z nim żyć nie mogę. Popełniłam błąd, odpokutowałam go ciężko, mam prawo do szczęścia jak każdy człowiek.

— Gdzie? do jakiego? — zapytał radzca.

— Znajdę człowieka, który mnie jest godzien i którego pokochać będę mogła!

— Drugiego takiego gołego awanturnika jak ten był, gdyś za niego szła. Rozum osobliwy: żyłaś z nim, dopóki nie miał nic, a teraz go chcesz porzucić, gdy ten kulfon nabrał wartości. Nie! kobiety nie mają rozumu.

Zabierało się na kłótnią i sama radczyni siedząca w krześle z pończochą rzuciła na kolana robotę, składając ręce, ścigając męża oczyma, chcąc go pohamować... Wtem drzwi się otworzyły — wszedł — Wolski.

Żaden upiór nie uczyniłby większego wrażenia. Helma się cofnęła na kilka kroków, radzca z rozgniewanego poczynał się metamorfozować na słodkiego i uprzejmego, matka milczała, osłupiała.

Wolski wszedł z jakąś pewnością siebie, której nigdy nie miał. Daremna to rzecz zaprzeczać cudotwórczym skutkom, tego podłego „kruszcu", jak go zwią poeci, oddziaływa on magnetycznie jakoś, niepojęcie, nawet na tych, co doń zbytniej nie przywięzują wagi. Kajetan był odrodzony, raźniejszy, śmielszy i wydawał się dziwnie zmienionym... Wszyscy to uczuli.

Radzca rozmyślał, jakby patetycznie wnieść zapomnienie przeszłości i zgodę. Helma stała blada i z rozbudzonym gniewem.

Wolski się skłonił z daleka, obejrzał po salonie a widząc, że nikt obcy nie słucha — począł:

— Proszę mi darować, że tak niespodzianie wchodzę — zdawało mi się, że im prędzej zgodnie załatwimy interesa, tem będzie lepiej.

— Zgodnie! tak! zgoda jest świętą rzeczą — zawołał radzca — byłeś niesprawiedliwym względem nas...

— Nie mówmy o przeszłości — pochwycił Wolski — to już do niczego nie prowadzi. Co się stało, odstać się nie może; stało się wiele złego, a gdybyśmy mieli pozostać, jak jesteśmy, sprowadziłoby to go jeszcze więcej.

— Niezmiernie słusznie... Ganz recht! — rzekł radzca przybliżając się.

Wolski mówił dalej wśród powszechnej ciszy:

— Z nieokreślonego i fałszywego położenia wyjść należy — żyć z sobą nie możemy.

— Dlaczego? dlaczego? — ofuknął radzca — nie widzę racyi.

— Ja i Helma zarówno to czujemy — odparł Wolski — zgoda byłaby fałszem, miłość kłamstwem, życie walką i sporem.

— Dlaczego? — powtórzył radzca.

— Naprzód dla dzieci samych — zawołał Wolski. — Zmieniło się dziś położenie moje, jestem niezależnym i nie ścierpię, aby dzieci moje miały być niemieckiemi dziećmi!

— Wymagałbym, aby się stały Polakami, jak ja jestem.

Radzca odskoczył — oczy mu błysnęły.

— Pfui! — zawołał — nierozum! szaleństwo. Jakto? waćpan nie umiesz cenić tego dostojeństwa, tego szczęścia, jakie im daje imię, wychowanie i stosunki niemieckie?..

— Nic a nic! — rzekł Wolski — brzydzę się świętokradzką apostazyą!

Apostazyi nie zrozumiawszy radzca komercyjny, zamyślił się chwilę, nie mógł wpaść na trop tego wyrazu... i to go zmięszało.

— Waćpan nie godzien jesteś doprawdy, aby z nim o to wieść spór — pierwszy raz wtrąciła gniewnie żona — nie chcesz, aby dzieci były Niemcami, ja jako matka nie pozwolę, by Polakami były...

Radzca milczący jeszcze apostazyi nie mogąc strawić mruczał tylko.

— To są właśnie sprawy, które stanowczo uregulowane być powinny — odparł Wolski dosyć chłodno. — Lischen jest u mnie i tej mi nikt w świecie odebrać nie może, wychowam ją na Polkę... co się tyczy Fryca i Emila.. (obrócił się do radzcy) panu wiadomo, żem odziedziczył...

— A wiem — rzekł wzdychając Riebe.

— Pół miliona talarów...

— Piękna i poważna suma...

— Z której ani Fryc ani Emil grosza mieć nie będą, jeśli Niemcami mają zostać.

Radzca usta wydął dziwnie.

— Nie rozumiem — rzekł sucho...

— Pozwól mi pan, abym myśl moją mu wyjaśnił.

Riebe podsunął krzesło, Wolski skłonił się lecz nie siadł.

— Rozwód dla nas obojga jest koniecznością — rzekł głosem spokojnym — pani to przyzna jak ja. Napróżnobyśmy uniknąć jej pragnęli. Nie chcę pani dłużej czynić nieszczęśliwą, ani sam cierpieć. Małżeństwa dwuplemienne kończą się zawsze apostazyą żony albo męża. Pani nie jesteś zdolną do takiej ofiary, ja się na nią wzdrygam.

Radzca wzruszył ramionami.

— Nie pozwolę — rzekł.

Wolski odwrócił się do niego.

— Daj mi pan mówić.

— Synom niedam nic, albo im oddam wszystko... z warunkiem, że ich odbiorę... że ich wychowam a raczej poprawię ich wychowanie, jak zechcę. Trzykroć sto tysięcy talarów przeznaczam im aktem notaryalnym, ale mi ich oddacie. — Nie — to nic.

Nastąpiło głuche, długie milczenie. Radzca Riebe siedział z głową spuszczoną w dół jak przybity... Helma zrobiła kilka kroków w poprzek salonu i stanęła milcząca.

— Co się tyczy pańskiego majątku, panie radzco, ja się go dla synów nawet zrzec jestem gotów.

Zdaje mi się — dodał Wolski — iż warunki moje są do przyjęcia — a przynajmniej ad deliberandum...

Wyraz ten radzca rozumiał i powtórzył cicho.

— Tak — ad deliferantum. (Według niego od Lieferung musiał pochodzić.)

— Na podstawie tych warunków ze wzajemnem zadowolnieniem nieszczęśliwą historyą naszą, która trwa lat dziesięć przeszło, możemy spokojnie i zgodnie załatwić.

— Ad deliferantum! — powtórzył radzca poważnie. — Nie zgadzam się — ale... zobaczymy. Wolałbym układ bardzo prosty, powrót do obowiązków i wspólność majątkową. Zlać kapitały w jedno, zostawić je w moich rękach...

Wolski mu nie dał dokończyć.

— Ja z moich warunków nie mam nic do odstąpienia.

To mówiąc skłonił się nizko, a że stał niedaleko drzwi, wyszedł prędko.

Wszyscy zostali w miejscach nieporuszeni poglądając na siebie.

Riebe spojrzał na drzwi.

— Polnische Wirtszaft! — mruknął — ledwie dostał pieniędzy, już niemi rzuca... Salona pałka!

Radzca żywo się przechodził po salonie — nie mówił i odgadnąć było trudno, co myślał. Stanął potem naprzeciw córki.

— Otóż to są skutki twojego postępowania. Co począć! miły Boże! co począć? Trzykroć sto tysięcy talarów! Hm...

Ale zje kaduka, żeby z nich Polaków porobił! Nigdy w świecie! Fryc ma dziesiąty rok i rozumie to dobrze, że kiedy go z tego cygaństwa polskiego wyciągnięto, wrócić doń byłoby ostatniem głupstwem... Będzie się rozbijał za idealną ojczyzną, kiedy ma gotową taką wspaniałą jak niemiecką i Bismarka w dodatku, który ją jeszcze potężniejszą i większą uczyni!!

To człowiek głupi, on się w targu oszuka. Dać mu dzieci... one już Polakami nie będą... tam nietylko niemiecka krew — ale niemiecka myśl w nich płynie.

Przerachował się pan Polak!

Dodał zacierając ręce:

— Ja mu oddam chłopców — ja się o nich nie lękam..

Spojrzał na córkę — Helma stała na pozór obojętna.

— Wszak prawda? — spytał — dać mu dzieci.

Matce łzy się w oczach zakręciły... Padła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Babka zamyślona wzdychała przypominając Lischen swoją, której od tak dawna nie widziała.

— Dzieci do niego z prawa należą, ani słowa — mówił chodząc radzca — temuby się nawet oprzeć trudno.

— Ale Lischen... Lischen? — cicho szepnęła radzczyni.

Mąż odwróciwszy się ku niej, ruszył ramionami, ręce rozpostarł nie mówiąc słowa.

W tej chwili chłopaki powracając ze szkoły, uchyliwszy drzwi salonu i zobaczywszy, że w nim nie ma nikogo, wpadły raźnie. Fryc nosił już rodzaj mundurku swej pensyi i kaszkiecik z jakąś opaską.

Emil przebrał się był w wojskowe swe sukienki, które mu dziad na wigilią sprawił. Na głowie miał historyczną pikielhaubę ze szpicą na wierzchu, flintę w ręku i buty długie jak do kampanii. Zdawało się, jakby umyślnie się przebrał dla uspokojenia dziada, iż nigdy Prusakiem być nie przestanie.

Riebe pocałował go w pikielhaubę.

Pobiegli obaj do matki, która im otworzyła ramiona i łzy popłynęły na nowo.

W milczeniu rzecz w istocie wzięto do namysłu.

Radzca poszedł po obiedzie do pastora na radę i w myśli oddziałania jeszcze na Wolskiego z pomocą dra Cyliusa sądząc, że ten jako ekscelencya pruska w sprawie narodowości niemieckiej przemówic zechce.

Cylius ruszył ramionami, bo mu to było zupełnie obojętnem.

— Idzie o to — rzekł — aby byli ludźmi wykształconymi, rozumnymi i uczciwymi — a czy będą Prusakami czy Chińczykami, przyznam się, że to mi wszystko jedno. Ojciec Polak ma niezaprzeczone prawo zrobić z nich synów a zatem Polaków, jeśli mu z tem dobrze. Ja się do tego mięszać nie będę.

W sprawie rozwodu pastor był tego zdania, iż lepiej się spokojnie rozejść niż powoli zjadać i Pana Boga obrażać niezgodą domową, którejby się dzieci od młodu przypatrywały.

Radzca już sam nie wiedział, co począć, a powtarzał nieustannie.

— Trzy kroć sto tysięcy talarów... nie do wyrzucenia...

Wszystko się więc zdawało skłaniać jak Wolski życzył.

Dr. Arnheim, który przyszedł na drugie piętro, zastał Helmę z twarzą zarumienioną i w rozdraźnieniu nadzwyczajnem.

Podała mu rękę milcząca i spojrzała w oczy.

— Los szczęśliwy zbliża nas, dostojny przyjacielu — ufaj mi... Wolski chce rozwodu, ja go pragnę — ale mi zabiera dzieci.

Zdaje się, że doktor nic nie miał przeciwko temu, bo zmilczał i ramionami tylko ruszył.

— Wiesz dla czego? — dorzuciła z gorzkim uśmiechem — oto, aby z nich uczynić Polaków.

Zdumiał się mędrzec.

— Ha! ci Polacy — szepnął — to psychiczny fenomen, jakiego w dziejach nie ma. Wszystko święcą dla ojczyzny, której nie mają i mieć nie mogą. Sto kilkadziesiąt milionów ludzi ściska ich i opasuje grożąc, poddać się nie chcą, zrezygnować się nie umieją — umrzeć nie mogą. Nie jestże to szaleństwo... najświetniejszą przyszłość poświęcić dla ślepoty, barbarzyństwa i nędzy?

Ruszył ramionami.

— Ojciec nieprzyjaciel własnych dzieci... Curiosum — szepnął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Dziecko w świetle hygieny.

Jak ochraniać dzieci przed ospą?

Jedną z najstarszych i najstraszniejszych chorób zakaźnych jest ospa, od najdawniejszych czasów panowała w Azyi i Afryce, aż wreszcie przyszła do Europy odkąd tu zaczynają się mnożyć opisy tej choroby. Znane są też oddawna starania, czynione w celu zapobieżenia szerzenia się tej choroby, polegające na szczepieniu ochronnem. Pierwsze szczepienie dokonane było podobno w Chinach, następnie na Kaukazie, w Grecyi, wreszcie w Anglii. W Królestwie Polskiem stosunkowo najpóźniej, bo w 1769 r. zostało zaprowadzone szczepienie ochronne przez ks. Bodouina. Metodę jednak szczepienia, taką, jaką się obecnie posługujemy, stworzył Jenner, urodzony w Szkocyi. Zauważył on, że ludzie mający do czynienia z krowami choremi na t. zw. ospę krowią, i którzy dostają tej ospy, nigdy na ospę później nie chorują. Jenner próbował zaszczepić ludziom ospę krowią, która daje się przenieść na człowieka i przyjmuje się dosyć łagodnie. Wyniki otrzymał znakomite i odtąd metoda Jennera rozpowszechniła się na świat cały.

Skoro już raz wiemy, że jedynym środkiem, mogącym nas ochronić od ospy, jest szczepienie, powinniśmy ściśle przestrzegać wykonywania tego przepisu. Dziecku każdemy należy szczepić ospę jaknajwcześniej, można i trzeba już po upływie 6-u tygodni życia. Pora roku, pomimo utartego przesądu, że szczepić najlepiej w lecie, jest obojętna. Jeśli się pierwsze szczepienie nie uda, należy je powtórzyć po miesiącu; jeśli i wtedy ospa się nie przyjmie, odnawiać co rok — aż do skutku. Szczepić nie można, jeśli dziecko ma ognipiór na całem ciele, lub jeśli kto w domu jest chory na taką chorobę zakaźną, jak żarnice, szkarlatyna, lub róża. Ze szczepieniem zwlekać nie należy, jest to ból nieznaczny, a chroni dziecko od ciężkiej choroby, kalectwa, a nawet śmierci. Szczepienie (a choć się przyjęło) chroni zwykle od ospy w ciągu lat 10-u, poczem należy szczepić powtórnie. Jeżeli w domu jedno dziecko lub dorosła osoba zachoruje na ospę, należy pozostałym natychmiast ospę zaszczepić, bez względu na to, kiedy szczepioną była ostatnią.

Należy też odosobnić bądź chore dziecko, bądź pozostałe zdrowe usunąć z domu. Przy chorem dziecku powinna pozostać tylko ta osoba, która je pielęgnuje, zachowując te ostrożności, o których mówiliśmy w poprzednich pogadankach (odnośnie do samej siebie i wydzielin chorego). Po ospie, jak i po każdej innej zakaźnej chorobie, bez względu na jej zakończenie (wyzdrowienie lub śmierć), należy odkazić całe mieszkanie i wszystkie meble, gdyż zarazek może się wszędzie znajdować. Przedmioty mniejszej wartości, jak zabawki, papierki, obrazki i t. p. spalić. Z wydzielinami postępować jak już mówiono poprzednio. Zwracam tu uwagę, że na przebieg ospy dodatnio wpływa czerwone światło, czerwone zasłony u okien, szkło u lampy i t. p. Chore dziecko można przestać izolować, gdy wszystkie strupki spadną, oraz gdy dziecko kilkakrotnie zostało wykąpane, a także po dokonanej dezynfekcyi (czerwonych plamek, które pozostają na ciele, nie należy się obawiać). Odosobnione dzieci, zdrowe, nie mogą przed upływem 3 tygodni uczęszczać do szkoły, a to dlatego, że okres wylęgania, czyli czas upływający od zakażenia do wybuchu choroby wynosi od 12 dni do 3 tygodni.

Jeszcze jedna uwaga. W okresie łuszczenia należy zbierać ostrożnie łuski i palić; prześcieradła na których były łuski, ścierki mokrej, którą się zbierało łuski lub kurz, nie wytrząsać, lecz wygotować. Bieliznę często zmieniać.

Przebycie ospy nie chroni, niestety, od zachorowania po raz drugi na tę ciężką chorobę, chociaż są to przypadki rzadkie, mówię o tem dlatego, by osoby, które już raz ospę miały, nie myślały, że są wolne od szczepienia — po upływie lat 10-u lub wcześniej w razie epidemii.

Dr. med. Matylda Biehler.

Fałszowanie nabiału.

Nabiał ulega licznym zafałszowaniom, które jednak łatwo można rozpoznać w domu i uchronić się od spożywania produktów, często bardzo dla zdrowia szkodliwych. Codziennie niemal narażeni jesteśmy na spożywanie w pokarmach, a zwłaszcza w mleku, śmietanie i maśle, takich rzeczy, których istnienia w nich bynajmniej się nie spodziewamy.

Mleko. Mleko dobre jest białe, lub żółtawe, nie niebieskawe, niema też obwódki niebieskiej przy nachylaniu naczynia. Zapach jest aromatyczny, nie zgniły, w smaku mleko jest słodkawe, przyjemne.

Jeżeli w mleku na dnie zbierze się czerwonawy osad lub też na powierzchni pływają różnokolorowe plamki, jeżeli mleko jest cuchnące, śluzowate, niebieskawe lub w smaku przypomina mydło — jest wtedy do użytku niezdatne.

Mleko cedzić trzeba przez czyste płótno, nalewać do czystego naczynia, a przechować w zimnem miejscu.

Mleko jest tem pożywniejsze, im drobniejsze po skwaśnieniu daje płatki twarogu.

Śmietanka w mleku dobrem, tj. niezbieranem i nie rozcieńczonem wodą, wynosi dziesiątą część całego mleka, co wyliczyć możemy przykładając miarkę do słoika lub szklanki z mlekiem.

Mleczarz nie oszuka nas, jeżeli sprzedawać zechce *mleko zbierane* zamiast niezbieranego, w mleku zbieranem bowiem śmietanki niema wcale lub też bardzo mało.

Mleko rozcieńczone wodą każda gospodyni rozpozna na mocy następujących danych: 1) rozcieńczony produkt ma wygląd wodnisty i wyraźną niebieskawą obwódkę przy nachylaniu naczynia; 2) kropla takiego mleka, wrzucona do szklanki z wodą, nie pozostawia za sobą wyraźnego śladu, lecz prędko się rozpływa, a mleko nierozcieńczone pozostawia wyraźny zygzakowaty ślad w wodzie; rozcieńczone mleko nie skupia się w postaci kulistej kropelki ani na igle, ani na szklanej lub marmurowej tafli, lecz rozlewa się nieforemnie. Istnieje też specyalny przyrząd — automat do określenia, czy mleko jest rozcieńczone wodą, odtłuszczone, lub zbierane i ile wody dolano do mleka: za pomocą takiego automatu można bardzo łatwo wykryć powyższe fałszerstwa.

Domieszkę mąki lub krochmalu określa się tak: łyżkę mleka trzeba zagotować; później ostudzić i dodać jedną kropelkę jodyny (jodyna jest przecież w każdym domu!); w razie obecności mąki lub krochmalu wystąpi niebieskie zabarwienie.

Ażeby mleko wydawało się bardziej gęste i nie kwaśniało zbyt prędko, mleczarze często dodają doń *sodę*, którą rozpoznać można w ten sposób: mleko z sodą kwaśnieje znacznie wolniej w porównaniu z mlekiem bez sody; następnie mleko z sodą nie ścina się wcale, jeżeli wlejemy do kieliszka łyżeczkę mleka i łyżeczkę spirytusu (dobre mleko od spirytusu zetnie się w kłaczki); również nie ścina się, jeżeli do mleka wlejemy kilka kropel octu (jak wiadomo, dobre mleko zetnie się szybko za dodaniem równej objętości spirytusu lub kilka kropel octu).

Aby rozpoznać, czy mleko jest *brudne*, trzeba kwartową przezroczystą butelkę z mlekiem położyć skośnie na lód: brud zbiera się na dnie.

Śmietana. Dobra śmietana powinna być tłusta, gęsta, niezbyt kwaśna, nie zapleśniała, nie zepsuta, no i nie zafałszowana.

Probując smak dobrej śmietany, nie odczuwamy żadnych ziarenek lub nierównych twardych cząsteczek.

Domieszkę *twarogu* w śmietanie odczuwamy w dotknięciu, rozcierając ją między palcami, albo też w smaku, probując na języku w postaci ziarenek i twardych nierówności. Domieszkę *mąki* lub *krochmalu* określa się w taki sam sposób, jak w mleku, należy tylko wprzód rozcieńczyć śmietanę, biorąc jedną jej łyżkę na 4 łyżki wody, później zagotować, ostudzić i dolać jodyny, jak wyżej. Zarówno twaróg, jak krochmal można nawet wprost rozpoznać w postaci ziarenek, rzuciwszy łyżeczkę śmietany do gorącej wody lub rozmazawszy ją na szkle. Jeżeli do dwóch łyżek śmietany dolejemy dziesięć łyżek wody (w szklance) i postawimy tak w spokoju, to po upływie pewnego czasu osiądą na dnie *twaróg*, *kreda* lub inne *domieszki* nierozpuszczalne, dodane w celu nadania gęstości śmietanie. Jeżeli część rozcieńczonej przez nas śmietany zagotujemy, to mogą podczas gotowania zjawić się płatki i jakby szumowiny: oznacza to, że do śmietany dodano *białko* jaja kurzego.

W taki sam sposób można rozpoznać i inne fałszerstwa w śmietance.

Masło. Dobre masło ma wygląd jednolitej masy niezbyt miękkiej, bez wszelkich plamek i żyłek. Żółto złocisty kolor i aromatyczny zapach ziół miewa masło w lecie. Zapach dobrego masła jest świeży, nie stęchły, co wyraźnie zaznacza się w mleku ogrzanem. Dobre masło niema smaku zjełczałego, gorzkiego lub nieprzyjemnego. Przy naciskaniu masła powierzchnią noża nie powinny zjawiać się kropelki wody.

U nas najbardziej rozpowszechnione jest fałszowanie masła obcemi tłuszczami zwierzęcego, a częściej roślinnego pochodzenia, najczęściej tłuszczem kokosowym. Czysty kokos nie jest dla zdrowia szkodliwym, ale sprzedawanie pod nazwą bardzo dobrego „śmietankowego“ masła mieszaniny obcych (często brudnych) tłuszczów jest karygodne, a często może być szkodliwe.

Marmurkowaty lub plamisty wygląd masła oznacza już *pewne zmiany* w nim powstałe wskutek złego wygniecenia, użycia barwnika w pro-

szku, domieszek sztucznych lub przypadkowych *Nierównomierne solenie* posiada ciemniejszą barwę i ziarna nierozpuszczonej soli w miejscach nasolonych. Obecność *łoju i obcych tłuszczów* nadaje masłu odrębny zapach, zwłaszcza przy ogrzewaniu. Jeżeli zwolna wlejemy do szklanki roztopione masło, a szklankę jeszcze później zanurzymy w gorącej wodzie, to po pewnym czasie utworzą się dwie warstwy: górna (85 proc.) składająca się z tłuszczu i dolna mniejsza (15 proc.) z nietłustych części: jeżeli dolna warstwa zajmuje aż ćwierć lub połowę górnej warstwy, w takim razie mamy do czynienia ze *złym gatunkiem* lub *masłem zafałszowanem.*

Jeżeli przytem jest zbyt duża warstwa tłuszczowa i jeżeli masło rozpryskuje się i trzaska przy topieniu na patelni, zachodzi wielkie podejrzenie co do obecności *kokosowych tłuszczów* (ściślej wykazać je można tylko w chemicznej pracowni). Domieszki *mąki, krochmalu, tartych kartofli* określić można w maśle w sposób następujący: do gotującej się wody wrzucić kawałek masła, a gdy się roztopi, zlać z powierzchni tłuszcz, a do pozostałej dolać kilka kropel jodyny: w razie obecności powyższych domieszek, które w gorącej wodzie opadną na dno, nastąpi niebieskie zabarwienie. *Nadmiar wody,* wywierający szkodliwy wpływ na konserwowanie masła i obniżający wartość jego, uwidocznia się w taki sposób, że w razie zbytniej obfitości wody występują liczne jej kropelki przy naciskaniu gładką powierzchnią noża lub na powierzchni świeżo odciętego kawałka.

Wszystkie wyżej wymienione sposoby badania zafałszowań mają tę dobrą stronę, że nie wymagają ani znajomości chemii, ani kosztownych przyrządów. Polecamy je wszystkim gospodyniom dbającym o zdrowie domowników.

Dom i kuchnia.

Potrawka z dróbek.

W dużych gospodarstwach, gdzie do obiadu biją naraz kilka sztuk drobiu, można podroby zużytkować, robiąc z nich doskonałą potrawkę. Wszytkie podroby po oczyszczeniu oparzyć, potem obrumienić na maśle, wkroić 1 cebulę, 2 marchewki i 1 pietruszkę, podlać wodą i białem winem, dodać soli, szczyptę pieprzu i dusić w krótkim sosie aż do miękkości. Jeszcze lepsza jest potrawka kwaśno słodka, natenczas zamiast włoszczyzny wkroić 2 lub 3 jabłka w drobne plasterki, wlać łyżkę octu, dodać cukru i dusić pod pokrywką — sos można zrobić więcej zawiesisty, zaprawiając go łyżką mąki rumianej. Zamiast włoszczyzny można jeszcze wkroić 2 lub 3 młode rzepki, dodać soli, małą łyżeczkę cukru i kieliszek madery, a będziemy mieli wyborną potrawkę.

Zrazy z marchwią.

Kilkufuntowy kawał wołowej pieczeni pokrajać w plastry na palec grube, zbić mocno, osolić i z obydwóch stron obrumienić; następnie zrazy te złożyć w rondel, zalać natychmiast wrzącą wodą, wsypać sporo posiekanej cebuli, dać łyżkę masła i pełen talerz cienko poszatkowanej marchwi. Rondel tak napełniony przykryć pokrywą i dusić na niezbyt silnym ogniu. Miękkie zrazy zapalić łyżką mąki — a gdyby sosu było za mało, podlać nieco dobrym rosołem.

Placki z jabłek.

Pół kwarty mleka, trzy jaja, trochę soli i mąki tyle ile potrzeba, by ciasto było dość gęste (lane). Ubić żółtka i białka jaj osobno, dodać żółtka do mleka, wlać następnie białka i mąki tyle, ile potrzeba do zrobienia bitego ciasta. Obrać kilka miękkich dojrzałych jabłek, pokrajać w cienkie okrągłe plasterki, wykrajać środek z każdego plasterka i w każdą łyżkę ciasto włożyć po jednym plasterku, smażąc w smalcu do brunatności lekkiej po obu stronach. — Wyborne!

Dżem z jadalnego rabarbarum.

W tym miesiącu łodygi rabarbarowe są, najsoczystsze, zatem na kompót i dżem najodpowiedniejsze. Po wycięciu z gruntu łodyg, po odrzuceniu samych liści, trzeba z łodyg oberwać zwierzchnią skórkę, potem łodygi pokrajać na kawałki 2 calowej długości, zalać zimną wodą na tyle, by woda objęła łodygi. Gotować dżemy i wogóle wszelkie konserwy w miednicy mosiężnej. Zalane wodą łodygi gotować w tej wodzie przez całą godzinę. Mieszać często drewnianą kopystką lub łyżką srebrną. Po upływie godziny, dosypać tyle cukru w kryształach, wiele ważyły łodygi po oczyszczeniu ich z wierzchniej skórki. To jest na funt, brać funt cukru. Po dosypaniu, smażyć znowu całą godzinę, ciągle od spodu miednicy mieszając. Potem zaraz składać dżem do słoików, najlepiej kamiennych. Nazajutrz, gdy zupełnie jest wystudzony, obwiązać papierem albuminowym. Przechowywać w śpiżarni suchej, chłodnej. Także wszystkie kompoty, konfitury, dżemy przechowują się doskonale w piecach, które powinny być bardzo starannie wymiecione z popiołu, piaskiem wysypane i papierem wyłożone.

HUMORYSTYKA

Przepraszam!

W pewnem towarzystwie pani F. spostrzega w czasie obiadu, że została w kaloszach.

Więc zręcznie zsuwa je z nóg tak, że nikt tego nie zauważył.

Siedzący naprzeciw niej pan L., co chwila przypadkiem następuje nogą na nieszczęsne kalosze i za każdym razem, zwracając się do sąsiadki, mówi — przepraszam — pewny, że nadeptał panią F. na nogę...

W chwili, gdy podawano pieczeń w tej stronie stołu, nieuważny młodzieniec znowu końcem swego buta uderzył o kalosz i głośno zawołał:

— Przepraszam!

— Jeszcze i dla pana dosyć zostanie — odpowiada nieco urażona pani F., która właśnie nabierała pieczeń na swój talerz.

Wyjaśnił.

— Całą godzinę spacerowałem wczoraj z moim domowym lekarzem po Nowym Świecie. Ten człowiek nie zna nikogo, nikt mu się nie kłania.

— Nic dziwnego. Jego znajomi leżą przeważnie na cmentarzu.

Na wieczorku imieninowym.

Spóźniony gość. Proszę przyjąć i moje serdeczne życzenia...

Solenizantka. Uprzejmie dziękuję za pamięć... Ale dlaczegóż tak późno?

— Późno? Czyżby już wszystko wypili?

Oświadczyny.

— Nie mogę dać za pana córki, bo niemasz pan żadnego majątku.

— Ależ jakto, posiadam przecież 30 morgów ziemi pod Otwockiem.

— Tak, ale to same piaski.

— A cóż to znaczy, przecież licząc tylko po 6 groszy koszyczek, niechno pani dobrodziejka obliczy, jakie to będą miliony...

Filantropka.

Do bogatej damy, uchodzącej za filantropkę, przyszła z prośbą uboga, obarczona rodziną kobieta.

Dama filantropka, podówczas miała w salonie gości i chciała spiesznie z ubogą się załatwić, przeto zapytuje:

— A wiele macie dzieci?

— Czworo, wielmożna pani...

Dama wyszła do gości, po kwadransie jednak powraca i pyta powtórnie:

— Wiele, kobieto, macie dzieci?

— Wielmożna pani, odpowiada uboga, od tej chwili, w której objaśniłam panią, że mam czworo dzieci, jeszcze mi ani jedno nie przybyło.

W sądzie.

— Obwiniony jesteś, żeś ukradł Jakubowi Kiszce buty... Człowieku! Jak się nie wstydzisz! Gdyby to był mróz, to jeszcze można by ci przebaczyć, ale przecież jest ciepło i można chodzić boso!

— To kiedyż miałem ukraść... on w mróz sam nosi buty na nogach, a teraz chodzi boso!

U wróżki.

— Moja pani, niech mi pani powie, co czeka moją narzeczoną:

— Oj! źle panie! Jak pójdzie za pana to prędko zostanie wdową...

— Tak, to wolę odstąpić ją memu rywalowi.

Poważna przyczyna.

— Cóż, mąż pani skończył kurację karlsbadową?

— O nie, przerwał ją w połowie!

— A to czemu?

— Bo umarł!

— Jak te drzewa prędko odrosły! — zawołał jeden. — Bo, nie mają nic innego do roboty, to i rosną — odpowiedział drugi.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.